Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 9 maja 1937 r. Nr. 19



Tak słodko, tak cudnie
zaszumiał gaj.
Uśmiecha się w słońcu
kwiecisty raj.
Śród bzów i jaśminów
cieszy się maj...

Rozbrzmiewa dokoła
ptaszęcy śpiew.
Sad pieści łagodnie
wiaterku wiew.
Śnieg kwietny opada
z wiśniowych drzew...

Weseli się w słońcu
najmniejszy kwiat.
I rajem się zdaje
wiosenny sad...
I rajem się staje
wiosenny świat...

„Pieśń młodej wiosny" — Julian Ejsmond.

WOJCIECH HOLM

30)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Wszystko jedno, byleby czym prędzej wyjechać z Wenecji.

— Jeżeli nie mamy zostać w Mediolanie, to możemy zaraz jechać dalej.

— Dokąd? — spytała baronowa opryskliwie.

— Może do Wiednia? — skwapliwie zapytała Anastazja, która niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko powrotu do miasta rodzinnego, gdyż na obczyźnie, gdzie ją nikt nie rozumiał, gadatliwość jej i plotkarstwo cierpiało bardzo.

— Zastanie jeszcze pani baronowa sezon w całej pełni.

Ale baronowa właśnie niczego bardziej się nie obawiała, jak Wiednia, — gdzie jeszcze zapewnie zachowywano w świeżej pamięci, jej romans z pięknym studentem.

Odpowiedziała więc:

— Wiedeń mnie nudzi, wolę raczej pozostać na zawsze we Włoszech.

— A może w Rzymie spędzi pani baronowa zimę? — proponowała Anastazja dalej.

— To niemożliwe! — rzuciła baronowa i na myśl o upokorzeniu, którego doznała od Teschiniego, zaczerwieniła się aż po uszy z gniewu.

Przez kilka minut oddawała się ponurym myślom, a potem spytała:

— No cóż, dokąd pojedziemy?

— Teraz już sama nie wiem — odpowiedziała Anastazja opryskliwie — najlepiej było pozostać w Wenecji, gdzie pani baronowa miała już bardzo szerokie koło znajomych.

— I to niemożliwe! — szarpnęła się baronowa.

Naturalnie w Wenecji nie chciała zostać.

Tam prześladowałby ją nieustannie cień Leona i niszczył każdą radosną chwilę. Na myśl o jego tragicznej śmierci nie odczuwała skruchy ani żalu, ani wyrzutów sumienia, tylko złość, uważając, że Leon w ten wyrafinowany sposób zemścił się na niej.

Zadumę jej przerwał donośny okrzyk konduktora:

— Stacja Mediolan!

— Co teraz poczniemy? — zapytała baronowa niezdecydowana.

— Wysiąść musimy w każdym razie — odpowiedziała Anastazja — bo nie mamy dalej biletu. Może pani baronowa przez jeden dzień zostanie w Mediolanie.

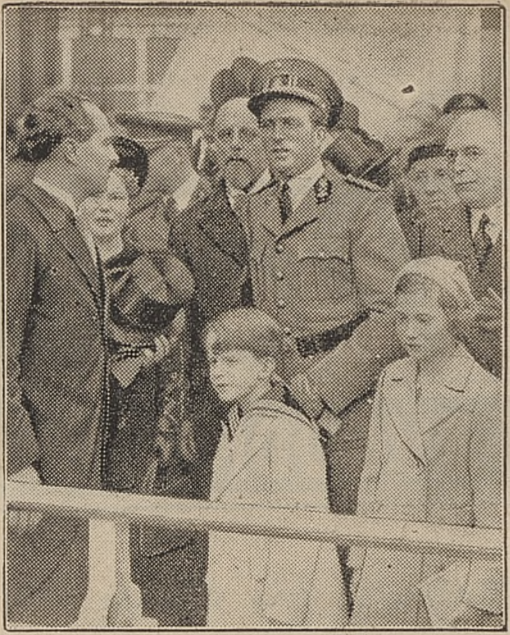
W jasnym świetle dziennym spostrzegła z gniewem, że jest zmęczona i niewyspana, więc troskliwie zaciągnęła na twarz gęsty welon, aby jej nikt nie poznał.

Lala, aczkolwiek z przymusem, zgodziła się na to ostatnie i wysiadła z przedziału.

W chwili, gdy wsiadała do powozu, ukłonił jej się nisko jakiś pan i zawołał:

— Czy to możliwe, że mam szczęście powitać panią baronową Wimpfen?

Baronowa ujrzała przed sobą młodzieńca o przeżytej, żółtej twarzy i spłowiałych blond włosach.



W Belgii spuszczono na wodę dwa nowe okręty „Książę Albert" i „Moanda". W uroczystości tej wziął również udział król Leopold z swymi dziećmi.

— Hrabia Brisen? — odpowiedziała dość chłodno — co pana sprowadza do Mediolanu?

— Chęć zobaczenia świata, łaskawa pani — odpowiedział Brisen uprzejmie. — Mam zwiedzić całe Włochy, ale dotarłem tylko do Mediolanu, bo spotkałem tutaj wesołe towarzystwo, z którym rozłączyć się nie mogę.

— Czy mógłby mi pan zdradzić kto tu bawi z naszych wspólnych znajomych? — zapytała baronowa zainteresowana.

— Szczęśliwy przypadek sprowadził tu najzabawniejszych członków wiedeńskiej arystokracji, siebie naturalnie nie liczę — dodał hrabia z przesadną skromnością. — Baron Fehrenberg z małżonką chce tu spędzić zimę ze względu na zdrowie. Urządzili się tu w pięknym, starym palazzo i można u nich spędzać nadzwyczaj przyjemnie wieczory. Fehrenbergowie są z tego znani, że zawsze gromadzą wokoło siebie zajmujące koło znajomych, a to im się tutaj udało nadspodziewanie. Przypuszczam, że pani baronowa zostanie wkrótce królową tego kółka, chyba, że pobyt pani baronowej w Mediolanie będzie tylko chwilowy?

— Nie pomyślałam jeszcze nad tym — odparła Lola — i będzie to zależało od pana, panie hrabio. Jeżeli zada pan sobie trochę trudu, aby mi pobyt w Mediolanie nieco uprzyjemnić, to nie będę miała nic przeciwko temu, aby czas jakiś tu spędzić.

— O, pani baronowo — zawołał Brisen, a zwiędłe jego rysy rozjaśnił wyraz prawdziwej radości — jeśli to jest w mojej mocy, aby panią tu zatrzymać, to użyję wszelkich starań, aby pani pokazać Mediolan w jak najróżowszym świetle. Czy mogę pani baronowej w pierwszym rzędzie polecić pani baronowej jakiś dobry hotel i zawieźć ją tam?

— Kochany hrabio, jesteś naprawdę uprzejmy! — zawołała Lola — naturalnie, jak najchętniej skorzystam z pańskich usług. Proszę zaprowadzić mnie teraz do hotelu, a potem postarać się, abym się dobrze bawiła.

W tej chwili wróciła Anastazja i nie mało była zdziwiona, gdy zobaczyła swoją panią w żywej rozmowie z hrabią Brisen, którego znała bardzo dobrze z Wiednia.

Anastazja wiedziała, że hrabia nadskakiwał baronowej przez długi czas bardzo gorąco i że Lola wbrew swojemu zwyczajowi była dla niego bardzo oziębłą, gdyż nie był dość ładnym i męskim.

Brisen chciał widocznie jeszcze raz spróbować szczęścia tu na obczyźnie, gdzie przychylny los postawił na jego drodze piękną baronową Wimpfen. Może miał nadzieję, że mu się tym razem lepiej powiedzie.

Postanowił więc spełniać z zapałem obowiązki, które wziął na siebie. Pomógł baronowej wsiąść do powozu, który już oddawna czekał i postarał się o to, aby Anastazja i Frania podążyły za nimi w innym powozie.

Obu woźnicom dał rozkaz, aby jechali do hotelu „Castel uniovo" i bardzo zadowolony zajął miejsce obok baronowej.

Podczas krótkiej drogi do hotelu Lola pogodziła się już zupełnie z Mediolanem. Prawdopodobnie dlatego, że Brisen naopowiadał jej tyle o przyjemnym kółku Fehrenbergów, że baronowa poprostu paliła się, aby tylko odnowić swoją szczerą znajomość z panią von Fehrenberg.

Brisen nadmienił również, że baronowa Fehrenberg zapraszała do siebie na dzisiejszy wieczór „wszystkich swoich wiernych", jak się żartobliwie wyrażała i zaklinał Lolę, aby bez ceremonii przyszła na ten wieczór, jako rodaczka i dawna znajoma.

Baronowa von Wimpfen dała się łatwo do tego nakłonić i pozwoliła hrabiemu, aby przyjechał po nią wieczorem w otwartym powozie.

Hrabia von Brisen umieścił swoją piękną pupilkę w tym samym pierwszorzędnym hotelu, w którym sam mieszkał i postarał się o to, aby Lola dostała szereg ładnych pokoi.

Otrzymawszy za usiłowania swe bardzo oziębłe podziękowanie, oddalił się do swego mieszkania.

— Nigdybym nie była pomyślała, że ten niezgrabny Brisen będzie mi się mógł do czegoś przydać — pomyślała Lola ziewając po odejściu swego płomienistego adoratora. — Dziś na przykład znalazł się zupełnie po ludzku.

— Jeśli nikogo lepszego nie znajdę — dodała w myśli — pozwolę, by mi nadskakiwał, ale tylko dla spędzenia czasu.

Lola spożyła obiad, wypoczęła trochę i zabrała się do robienia toalety. Kończyła ją właśnie, gdy jej zameldowano hrabiego Brisena.

Weszła do swego salonu, gdzie hrabia już na nią czekał i mimo, że znał ją oddawna, wydał lekki okrzyk podziwu.

Lola ubrana była w czarną koronkową suknię zrobioną na czerwonym atlasie. W ciemnych jej włosach błyszczała złota gałązka, wysadzana granatami. Jedyną jej biżuterią była brylantowa broszka i wspaniałe naramienniki, ogromnej wartości.

Na pięknej twarzy Loli nie było ani śladu znużenia — była olśniewająco

piękna, a z jej oczu biła taka słoneczna wesołość, jak gdyby nie dotknęła jej jeszcze żadna ziemska troska.

Z zadowoleniem spostrzegła próżna kobieta wrażenie, jakie uczyniła na Brisenie.

— Prawda, hrabio — rzekła kokieteryjnie — że znam się trochę na sztuce ubierania?

— Ale ta sztuka sama — zawołał hrabia z entuzjazmem — nie wystarczyłaby, aby uczynić panią baronową tak olśniewającą, że ja biedny śmiertelnik, który się w pobliżu tego słońca znalazłem, czuję się na zawsze ujarzmiony.

— Cicho, cicho — mitygowała go Lola, grożąc mu żartobliwie wachlarzem — brzmi to tak, jak gdyby na pamięć było wyuczone z jakiegoś romansu.

— Ależ pani baronowo — zawołał hrabia Brisen z wyrzutem — jakżeż mię pani krzywdzi! Nie można bowiem uważać słów z głębi serca pochodzących za frazesy i do tego wyuczone na pamięć.

— Anastazjo, płaszcz! — krzyknęła Lola, nie zważając na wzburzenie hrabiego.

Anastazja włożyła na nią szeroki, czerwonym atłasem podbity płaszcz wieczorowy i zarzuciła jej na głowę koronkowy szal. W kilka chwil później baronowa wchodziła do salonu baronów von Fehrenbergów, który był już przepełniony wysoką arystokracją, gdy zameldowano Lolę i hrabiego.

Baronowa Fehrenberg, przyjemnie zdziwiona, podniosła się, gdy usłyszała nazwisko baronowej Wimpfen i pospieszyła jej naprzeciw.

Nie była ona już młodą kobietą, ani zbyt piękną, ale uprzejmość jej usposobienia, żywość umysłu i dowcip, zjednywały jej zawsze koło wielbicieli.

Nigdy też baronowa nie zazdrościła triumfów innej kobiecie, choćby ta ją nawet zaćmiewała.

Zjawienie się Loli wywołało poruszenie w całym kółku zebranych w salonie mężczyzn. Jeden po drugim zbliżał się do barona Fehrenberga, starszego i niepokaźnego człowieka, z prośbą, aby go przedstawił baronowej Loli.

Baronowa przyjmowała łaskawie składane jej hołdy i bystrym okiem obserwowała przedstawioną jej młodzież, przykładając wielką wagę do nazwisk, które jej baron Fehrenberg wymieniał.

— Pani baronowa pozwoli — wymieniał nazwiska pan domu — mój kuzyn Sellenthin! Hrabia Sempały, baron Oppen-Norden, markiz Guiliono, Conte Raigi, baron Ogrowskij...

Szybki i bystry wzrok baronowej spostrzegł natychmiast, że baron Ogrowskij był z całej kliki najbardziej zajmującą postacią.

Hrabia Sellenthin, kuzyn Fehrenberga był od stóp do głowy oficerem kawalerii, a górna część jego ciała naprzód pochylona i wykrzywione nogi świadczyły nazbyt wyraźnie o zamiłowaniu jego do konnej jazdy.

Hrabia Sempały był niepokaźny i bardzo jeszcze młody.

Oppen-Norden był rudy, a złośliwość jego znaną była baronowej jeszcze z Wiednia.

Markiz i Conte — Włosi, obaj byli średniowieczni, żółci i zasuszeni jak cytryna.

W porównaniu z tymi panami baron Ogrowskij wydał się biegłemu oku baronowej tym piękniejszy i ponętniejszy.

Wzrost jego był okazały, a cała postać imponująca. Od przeźroczystej prawie bladości jego twarzy odbijały się ogniste i ciemne oczy i kruczo-czarne włosy.

Ubranie barona było nienagannej elegancji, a twarda i łamana jego niemieczczyzna zachwycała damy. Poznać w nim było na pierwszy rzut oka Rosjanina.

Przychylny przypadek zrządził, że Ogrowskij znalazł się obok baronowej, gdy towarzystwo ugrupowało się w salonie.

Lola siedziała obok uprzejmej gospodyni domu, na małej i niskiej kanapce, wokół której zgromadzili się obecni panowie.

Dwaj lokaje roznosili na tacy herbatę z przekąskami. Czynili to cicho i zręcznie.

— No, moi panowie, co słychać nowego? — zapytała baronowa Fehrenberg.

— Niki, ty jesteś naszym ciceronem, więc zdawaj relacje.

— W pierwszym rzędzie muszę zakomunikować — rozpoczął hrabia Sellenthin — że owa straszna kobieta znowu grasowała po okolicy.

— Nic o tym nie słyszałam jeszcze. Opowiadaj! — zawołała z ożywieniem baronowa von Fehrenberg.

— Dziś po południu, gdy otworzono przemocą drzwi pewnej bogatej właścicielki domu, znaleziono ją martwą wśród kałuży krwi. Mord popełniono w nocy. Kasa żelazna była otwarta i wypróżniona — opowiadał hrabia Mikołaj Sellenthin lakonicznie.

— Na miłość Boską! — przeraziła się gospodyni domu — co za straszny wypadek! Ale skąd przypuszczają że owa tajemnicza osoba ma i z tym morderstwem coś wspólnego?

— Tylko przypuszczenie! — mruknął Sellenthin, wzruszając ramionami.

— Mowa pańska jest dla mnie zagadkową — rzekła Lola z lekką przymieszką niecierpliwości. — Co to za tajemnicza kobieta, która pana tak przeraża? Niechże pan i mnie wtajemniczy w najnowsze wypadki Mediolanu, jeśli łaska!

— Jak to? Pani baronowa nie słyszała jeszcze nic o tym strasznym fakcie? — dziwił się Brisen. — Myśleliśmy, że pani już jest poinformowaną. Od kilku tygodni powtarzają się tu często zuchwałe i wyrafinowane włamania złodziei. Opryszki z taką pewnością zabierają się do rzeczy, że muszą oni wybornie znać miejscowość, a ofiarami ich są najczęściej bogate, owdowiałe kobiety. Rozpoczęli oni od lady Wilson, która mieszkała tu od wielu lat. Rano znaleziono pokojówkę tej pani zaduszoną. Spała ona w pokoju, przez który złoczyńca musiał przechodzić, chcąc dostać się do buduaru pani. Musiał on doskonale znać rozkład mieszkania, bo poznać było można, że ani kroku nie zrobił daremnie. Biurko w buduarze było rozbite i cenne biżuterie lady Wilson i wszystkie pieniądze zabrane. Wszystko to stało się tak cicho i prędko, że nawet sama pani domu i reszta służby się nie zbudziła. — Skoro tylko opinia uspokoiła się trochę po tym zuchwałym czynie, zdarzył się drugi podobny wypadek, ale jeszcze zuchwalszy i okropniejszy. Tym razem jednak udało się wykryć złodzieja, a raczej złodziejkę.

— Co? — przerwała Lola opowiadanie — kobieta była w stanie popełniać tak straszne zbrodnie?

— Tak jest, łaskawa pani — potwierdził baron Ostrowskij z uprzejmym uśmiechem — piękna i łagodna płeć pani ma i tak przewrotnych członków. Faktem jest, że ta kobieta, bez jakiejkolwiek pomocy dokonuje tych okropnych morderstw i zuchwałych kradzieży. Hrabia zapewnie będzie tak dobry i opowie sprawę dalej, a wtedy dopiero pani baronowa przekona się o słuszności naszych twierdzeń.

— Proszę, bardzo proszę mówić dalej, hrabio — zwróciła się piękna Lola do Brisena — ciekawa jestem dalszego ciągu.

— Ofiara ostatniego mordu jest mi bardzo dobrze znaną — ciągnął dalej hrabia Brisen — a i większa część naszego dzisiejszego towarzystwa znała baronowę Frangipani.

— Tak jest! Tak jest! — dały się słyszeć głosy potwierdzenia.

— Wieczór przed popełnieniem zbrodni byłem u niej na herbacie — dodał Ogrowskij ponuro. — Baronowa była w najlepszym humorze i nie przeczuwała nawet, że w kilka dni później będę na jej pogrzebie.

— Okropny to był koniec — opowiadał Brisen. — Baronowa Frangipani odziedziczyła majątek po jednym ze swych krewnych i była o tyle nieostrożną, że nie zdeponowała tej sumy natychmiast u swego bankiera, lecz zatrzymała ją u siebie w pomieszkaniu, aby zanieść ją do banku dopiero nazajutrz. W nocy zbudził ją ktoś szorstko,



Minister spraw zewnętrznych Beck bawił w ostatnich dniach w Bukareszcie. Wynikiem rozmowy jest zmiana polityki rumuńskiej w stosunku do Sowietów. Zdjęcie nasze przedstawia ministra Becka z małżonką, po przybyciu do Bukaresztu.

Otworzywszy oczy, zobaczyła przed swojem łóżkiem tak ogromną kobietę, że myślała początkowo, że jest to tylko straszne złudzenie.

— Proszę ją opisać! — nalegała Lola, która przysłuchiwała się z uwagą opowiadaniu.

— Kobieta ta była, jak już powiedziałem, olbrzymką — opisywał hrabia dalej — głowę jej okalały płomieniste rude, rozczochrane włosy. — Skórę na twarzy miała brązową, zeschniętą i okropnie pomarszczoną, a z twarzy wyglądała groźnie para oczu, żarzących się jak węgle. Ubranie jej składało się z bardzo krótkiej, fałdzistej i ciemnej spódnicy i z bluzy tego samego koloru. Na głowie miała czarną chustkę, która zakrywała dalszą część jej ohydnej twarzy.

— A czy baronowa mogła widzieć te wszystkie szczegóły, będąc tak przerażoną? — badała Lola ciekawie.

— Widziano tę zbrodniarkę częściej — objaśnił Sempaly — i zebrano w ten sposób pojedyńcze szczegóły w całość.

— Aby obraz jej jeszcze uzupełnić — dodał baron Ogrowskij z poważną miną — trzeba dodać, że ma mieć nadzwyczaj piękne i wypielęgnowane, choć nie bardzo małe ręce. Ale proszę, niech hrabia Brisen opowiada dalej, bo ma z nas największy talent wymowy.

— Baronowa Frangipani — zaczął znów Brisen — chciała zerwać się z przestrachu, ale w tej samej chwili poczuła, że ma ręce i nogi związane. Przed nią zaś stała ta straszna kobieta z podniesionym sztyletem i krzyknęła ochrypłym głosem:

— Gdzie są pieniądze?

— Pytanie to powtarzała tak długo, dopóki jej baronowa nie dała odpowiedzi. Schowała ona pieniądze między bieliznę i myślała, że tam będą zupełnie bezpieczne. Ledwie wskazała je włamywaczce, ta dużymi krokami podążyła do garderoby, z której po kilku minutach powróciła.

— Czy to jest wszystko? — zapytała groźnym głosem. — Gdzie jest reszta pieniędzy?

Baronowa przysięgała, że to jest wszystko, co ma w domu.

— A teraz twój koniec się zbliża — odpowiedziała straszna kobieta z przerażającym uśmiechem i przeszyła nieszczęśliwą staruszkę sztyletem. Lecz nie trafiła dobrze, bo baronowa żyła jeszcze do rana i umarła dopiero po kilkugodzinnych strasznych męczarniach. Urywkami zdążyła jeszcze wszystko opowiedzieć, ale mimo najdokładniejszego śledztwa, nie można było wpaść na ślad, w jaki sposób zbrodniarka dostała się do domu. Cała służba przysięga święcie, że zamknęła dom wieczorem tak, jak zwykle. W jaki więc sposób ta zbrodniarka dostała się do wnętrza pomieszkania, to pozostanie na zawsze nierozwiązaną zagadką.

Zapewnie wsunęła się wieczorem niespostrzeżenie do domu i siedziała ukryta w jakimś ciemnym kąciku, aż do chwili, w której czyn swój wykonać mogła — tłumaczyła zamyślona Lola.

— To było niemożliwe! — odparła pani von Fehrenberg — bo pałac Frangipani'ch był przez cały dzień zamknięty, a bramę otwierał portier tylko wtedy, gdy ktoś zadzwonił.

— Ależ to straszne! — zawołała Lola — dreszcze mnie przechodzą, gdy o tym pomyślę! A czy ta niebezpieczna kobieta, jeszcze coś takiego popełniła?

— Naturalnie! — zawołał baron Oppen - Norden. — Najokropniejsza i najbardziej tajemnicza zbrodnia popełnioną została w kilka dni po zmordowaniu baronowej i to w domu barona Ogrowskij. O tym jednak poinformuje nas najlepiej sam baron.

— Właściwie to wiem o tym mało — odpowiedział Ogrowski — bo prócz okropnego widoku zamordowanej, nie widziałem nic z tego okropnego zajścia. Gdym przyjechał do Mediolanu, mieszkałem w tak zwanym „maison meublée" i byłem tam podówczas jedynym lokatorem.

Miałem swoje pokoje na pierwszym piętrze, a gospodyni, starsza kobieta ze swoją córką mieszkała na parterze. Nie miałem pojęcia, że signora Dotare była zamożną kobietą i myślałem, że utrzymuje się ona li tylko z dochodów swojej pensji. Pewnej nocy zbudził mnie okropny krzyk, powtarzający się w krótkich odstępach czasu coraz przeraźliwiej. Zbiegłem na parter i w przedpokoju zobaczyłem jedną ze służących, leżącą w kałuży krwi na ziemi. Biedaczka już nie żyła. Pobiegłem dalej z rewolwerem w ręku, ale przyszedłem już za późno. Signora Dotare i córka jej były także trupami.

Szukałem chwilę bezowocnie drugiej służącej, którą wreszcie znalazłem zamkniętą w swoim pokoju. Słyszała ona tak jak i ja powtarzające się okrzyki przestrachu. Przywołałem na pomoc policję, ale i ta mogła tylko skonstatować fakt, że kasa pieniężna signory Dotare była zupełnie wypróżniona, i że te trzy kobiety zeszły z tego świata, pchnięte ostrym sztyletem. Złoczyńca dotychczas nie został jeszcze odkryty, ale wszyscy podejrzewają o zbrodnię tajemniczą kobietę, która zgładziła ze świata baronową Frangipani.

— Co za okropność! — krzyknęła Lola pół rozbawiona, pół przerażona. — I pan mieszka nadal w tym strasznym domu, panie baronie?

— Gdybym nawet miał ten zamiar — odpowiedział Ogrowskij — nie mógłbym go wykonać, bo właścicielka tego domu już nie żyje. Opuściłem dom jej jeszcze tego samego dnia, bo prawdę powiedziawszy, to i moja męska odwaga wyczerpała się na widok tych trzech krwawych trupów.

— Jak dawno wydarzył się ten wypadek? — pytała baronowa ciekawie.

— Trzy, albo cztery tygodnie temu — odpowiedział Brisen — ale w tym czasie powtórzyły się podobne zbrodnie kilkakrotnie, a każda następna była zuchwalsza i bardziej tajemnicza od poprzedniej.

Pewnego starego człowieka, którego obrabowano i zamordowano, znaleziono nazajutrz rano jeszcze żywego. Miał on przy tym tyle siły, aby opowiedzieć co się stało. Od dłuższego czasu w jego sypialni stała kasa żelazna, naprzeciw jego łóżka. Ponieważ miał bardzo lekki sen, zbudził się którejś nocy na skutek lekkiego szmeru. Podniósł się na łóżku i zobaczył ogromnie dużą kobietę z latarką w ręku, krzątającą się około jego kasy. Cichutko zsunął się z łóżka, złapał broń, którą zawsze miał na pogotowiu i chciał z tyłu natrzeć na złodziejkę. Lecz mimo całej ostrożności w ruchach, kobieta zobaczyła go i obróciwszy się, z cichym, ale przerażającym śmiechem pchnęła go sztyletem głęboko w pierś. Padł na ziemię bez przytomności i leżał tak, aż go lekarz z ciężkim trudem ocucił, ale i to nie na długo, bo umarł po kilku godzinach z powodu upływu krwi.

— To straszne! Okropne! Jedna rzeź po drugiej — otrząsnęła się Lola von Wimpfen. — Miałabym prawie chęć opuścić Mediolan z powodu tych okrucieństw, które się tu dzieją. Ale właściwie nie mam powodu do obaw, bo nie mam nic przy sobie, co by tę potworną kobietę mogło zachęcić do porwania się na mnie. Wszystkie moje wartościowe rzeczy zostawiłam we Wiedniu, a moja kasa podróżna nie jest nadmiernie przepełniona.

— Pani baronowa niedocenia swoich klejnotów, jeżeli sądzi, że nie są warte włamania — odezwał się baron Ogrowskij zamyślony — sam soliter w broszce pani baronowej przedstawia wartość pięciu do sześciuset tysięcy franków. — Jest to najpiękniejszy diament, jaki kiedykolwiek widziałem. I naramienniki są bardzo wartościowe, ale przecież nie tak kosztowne, jak ten soliter w broszce, który jest nadzwyczaj duży i cudownie oszlifowany.

— Jak świetnie baron Ogrowskij rozumie się na wartości i na taksowaniu diamentów. Można by myśleć, że był co najmniej pół roku czeladnikiem złotniczym! — żartowała baronowa Fehrenberg.

— Pani baronowo — odciął jej baron, widocznie niemile dotknięty tym żartem — nauczyłem się oceniać wartość szlachetnych kamieni na klejnotach rodzinnych mego domu. Diamenty rodziny Ogrowskij, które przechodzą z pokolenia na pokolenie, osiągnęły nawet pewną sławę w mojej ojczyźnie tak z ilości, jak też i z jakości. Leżą one teraz nieużywane od czasu śmierci mej matki.

To rzekłszy umilkł, a na twarzy jego odbiła się pewna melancholia, z którą mu było bardzo do twarzy.

Baronowa Wimpfen milczała również i ze współczuciem spoglądała na pięknego Polaka, podczas, gdy w duchu myślała sobie, że świetnie byłoby jej do twarzy w rodzinnych diamentach rosyjskiej arystokracji.

Rozmowa zeszła teraz na inny temat i szła dalej żywo i dowcipnie, przy współudziale wszystkich zebranych.

Towarzystwo rozeszło się dopiero późną nocą.

Hrabia Brisen zapomniał zamówić powóz, więc i Lola była zmuszona przyjąć ramię swego rycerza i pójść z nim pieszo przez odludne i ciemne ulice Medjolanu. Do eskorty pięknej baronowej należał i baron Ogrowskij i inni panowie.

— Teraz chciałabym nawet spotkać tajemniczą włamywaczkę, ten postrach Medjolanu! — żartowała Lola — moja rycerska opieka, nawet mnie, tchórzowi, dodaje odwagi.

— Proszę się czuć zupełnie bezpieczną — rzekł na to Ogrowskij — ta kobieta na pewno nie będzie tak szaloną, aby nas w tak poważnej liczbie zaatakować na ulicy. Ona wkrada się tylko do domów i morduje bezbronnych we śnie, a potem znika bez śladu. Chodzę za każdą rudą kobietą, w nadziei, że wynajdę zbrodniarkę, ale zawsze daremnie.

— Baron Ogrowskij jest szczególnie rozgoryczony tym kobiecym demonem! — zauważył Brisen. — Okropna śmierć dobrej baronowej Frangipani tak go dotknęła.

— Dajmy spokój umarłym! — zawołała Lola wesoło. — Zresztą jesteśmy już przy hotelu. Żegnam więc i spodziewam się zobaczyć panów jutro, to znaczy, jeżeli mnie wampir medjolański nie zadusi.

Wśród wybuchu śmiechu znikła Lola w bramie hotelowej, nie słysząc szyderczego śmiechu, który się zmieszał z wesołymi głosami odprowadzających ją

oficerów. Któż to mógł śmiać się tak złośliwie, tak demonicznie z niewinnego żartu Loli?

ROZDZIAŁ CXII

Śmiałe przedsięwzięcie

Anastazja, która zawsze musiała czekać powrotu swej pani, aby ją do snu ułożyć, była zdziwiona dobrym humorem baronowej, po powrocie jej od Fehrenbergów.

Widocznie lekkomyślna kobieta zapomniała już wśród świeżych wrażeń o niemiłych wypadkach, które ją dotknęły w Wenecji.

Paplała wesoło ze swoją towarzyszką podczas gdy Frania rozbierała ją. Chwaliła piękność i dobre wrażenie barona Ogrowskij tak żywo, że Anastazja robiła już na jego temat różne przypuszczenia.

Nazajutrz, gdy Lola siedziała przy toalecie, przyniosła jej towarzyszka z triumfującą miną dwie karty wizytowe ze złotymi brzegami. „Hrabia Mikołaj Sellenthin" — stało na jednej, którą Lola obojętnie odsunęła na bok, a „Baron Iwan Ogrowskij" na drugiej, której przypatrywała się z uwagą.

— Pospiesz się Franiu — rozkazała piękna dama swej garderobianej. — Jesteś powolną, jak ślimak. Chyba już od dwóch godzin wiążesz tę małą kokardę.

Czas widocznie dłużył się baronowej, bo Frania przed chwilą dopiero wzięła do ręki szarfę i związała ją prędko i zręcznie w zgrabny węzeł.

Baronowa niecierpliwiła się tak bardzo, bo chciała jak najprędzej wejść do salonu, gdzie na nią czekali obaj panowie. Dlatego też skróciła nawet lustrowanie swej toalety w dużych weneckich zwierciadłach i weszła bardzo zadowolona do salonu.

Zauważyła, że zajmujący Rosjanin przy świetle dziennym był jeszcze piękniejszy, niż wieczorem, przy blasku świec.

— Czy pani baronowa już słyszała — zaczął po ceremonii przywitań Sellenthin — co się znów strasznego stało tej nocy?

— Nie wiem o niczym! — zawołała Lola. — Dziś rano nie widziałam jeszcze nikogo prócz swej towarzyszki i garderobianej, a one nie mogą się porozumieć ze służbą hotelową, bo nie umieją po włosku. Ale proszę mi opowiedzieć, panie hrabio, co się właściwie stało?

— Wampir medjolański, jak łaskawa pani wczoraj go słusznie nazwała, grasował znów tej nocy — odrzekł Sellenthin — ale baron, który był zawikłany w tę awanturę, opowie pani o tym najlepiej.

— Słucham pana! — zawołała Lola żywo.

Jeżeli panią baronową znudzę swojem opowiadaniem, to stanie się tylko z jej rozkazu — odpowiedział Rosjanin z uprzejmym uśmiechem. — Pani baronowa przypomina sobie może (na to słowo położył lekki nacisk) że miałem wczoraj zaszczyt odprowadzić panią baronową. Inni panowie udali się po naszym rozejściu do swoich domów, tylko ja nie mogłem się zdecydować na to; noc była taka piękna. Długo błądziłem



W czasie uroczystości koronacyjnych w Londynie liczne oddziały wojska utrzymywać będą porządek. Na zdjęciu widzimy namioty wojska w jednym z parków londyńskich.

samotnie po odludnych, światłem księżyca oblanych ulicach, pogrążony w myślach.

Wymowne spojrzenie arystokraty dało poznać baronowej, do kogo zwracały się jego myśli.

— Szedłem więc samotnie — ciągnął baron dalej — nie wiedząc sam dokąd. Nagle usłyszałem przeraźliwy, pełen rozpaczy okrzyk, który mnie przeszył do szpiku kości. Przerażony odwróciłem się i spostrzegłem, że byłem przed domem jednej ze swoich znajomych, a mianowicie: pani Dufour. Owładnęło mną okropne przeczucie, ale nim wykombinowałem, jakim sposobem dostać się do wnętrza domu, zobaczyłem otwierające się małe okienko na parterze i wyskakującą z niego postać kobiecą. Nie jestem tchórzem, ale stanąłem na chwilę jak wryty, bo przede mną stał wampir Mediolanu. Widok tej kobiety przewyższał wszystko, co najbujniejsza fantazja wyobrazić sobie może. Nienaturalna, olbrzymia postać i ogniste rude włosy, spadające na spaloną i zmarszczoną twarz i te niepokojąco błyszczące oczy, które na mnie spoczęły na chwilę, jak gdyby mnie chciały przeszyć. Potworna ta kobieta wpatrywała się przez chwilę we mnie, a po tem odwróciła się i odeszła. Udałem się w ślad za nią. Prześladowałem ją, jak pies wilka, a ona nawet nie starała się przyspieszyć kroku. — Nagle znikła z moich oczu, jakby się zapadła w ziemię. Daremnie śledziłem za nią. Nie było ani śladu tej potwornej kobiety. Wreszcie zaprzestałem bezowocnych poszukiwań i powróciłem do domu pani Dufour. Panowała tam grobowa cisza. Tylko otwarte okienko w parterze dawało mi dowód, że to wszystko było straszną rzeczywistością. Wezwałem pomocy policji i wraz z nią wtargnąłem do wnętrza domu. Przypuszczenia moje, niestety, spełniły się. W łóżku leżała już bez życia, z przestyletowaną piersią, piękna i dobra pani Dufour. W sąsiednim pokoju leżała również śmiertelnie ranna jej garderobiana. Reszta sług była pozamykana w swoich pokojach. Znikły drogie klejnoty i pieniądze. Zuchwała złodziejka przywłaszczyła sobie nawet dzieło sztuki, nieocenionej wartości. Poleciłem policji, aby złoczyńcę wyśledziła, ale urzędnicy wzruszali ramionami i milczeli. Obawa przed tajemniczą zbrodniarką obawa o własne drogie życie, większą była, niż poczucie obowiązku. Wtedy opanował mnie straszny gniew. Znałem panią Dufour i podziwiałem piękność i spryt tej niezupełnie już młodej, ale nadzwyczaj ujmującej kobiety. Spędziłem niejedną przyjemną chwilę w jej gościnnym domu, a teraz widziałem ją zgładzoną ze świata ręką skrytobójczą, a żaden mściciel się nie zgłasza. Postanowiłem więc stać się mścicielem pani Dufour i nie spocząć prędzej, nim zbrodniarka nie będzie wyśledzona i ukarana tak, jak na to zasługuje.

To rzekłszy, baron zamilkł i zapatrzył się smutnie przed siebie.

— Jak strasznym jest ten nowy mord! — zawołała baronowa, która pilnie słuchała opowiadania. — Stchórzyłabym najchętniej! Co panowie myślicie o tym, hrabio Sellenthinie i baronie Ogrowskij, gdybyśmy namówili Fehrenbergów i gremialnie opuściwszy Mediolan, osiedli się na kilka tygodni w jakimś bezpieczniejszym miejscu?

— Mnie trzyma w tym miejscu święty obowiązek — odparł Ogrowskij uroczyście. — Nie opuszczę Mediolanu prędzej, aż nie pomszczę śmierci pani Dufour. Wyznaczyłem cenę 10.000 lirów na głowę tego zbója w spódnicy i mam nadzieję, że uda mi się to osiągnąć, czego dotychczas policja nie mogła uczynić.

— Ma pan rzeczywiście wielki powód opłakiwać pamięć pani Dufour — zawołał Sellenthin znacząco, a ton i mina jego mówiły wyraźnie, co przez to chciał powiedzieć.

Mówiono bowiem głośno o tym, że barona Ogrowskij łączyły bardzo bliskie stosunki z piękną, ale już niemłodą panią Dufour. Mówiono o tajemniczym porozumieniu między nimi. Sellenthin widział na własne oczy, jak polski baron opuszczał pewnego razu dom pani Dufour o bardzo niezwykłej godzinie, bo dopiero o zmierzchu porannym. Do tego spotkania właśnie robił hrabia aluzje, bo zazdrościł Rosjaninowi jego sukcesów u płci pięknej.

Ogrowskij jednak zdawał się nie przykładać wagi do tych słów.

— Jeśli ja przykuty jestem do Mediolanu przez obowiązek, który sobie sam nałożyłem — odparł zamyślony — to przecież państwu nie przeszkadza opuścić natychmiast to niebezpieczne miejsce pobytu i widownię tylu okropności. Uważałbym to nawet za całkiem usprawiedliwioną ostrożność, gdyby wszyscy ci, których w Mediolanie nic nie wiąże, natychmiast go opuścili.

— Nie obawiam się tej kobiety — odpowiedział hrabia Sellenthin hardo — gdyby to nawet była baba z piekła rodem! Wstydziłbym się nawet uciekać po tchórzowsku przed tą włamywaczką. Zostaję więc w Mediolanie, a mój kuzyn, baron Fehrenberg, z którym się widziałem dziś rano, myśli tak samo, jak i ja.

— Więc i ja tu zostanę! — odparła baronowa Lola stanowczo.

Jej chęć zbliżenia się do pięknego Rosjanina była silniejszą od obawy przed tajemniczą morderczynią.

— Wampir Mediolanu z pewnością mnie oszczędzi! — dodała dla własnego uspokojenia. — Z wyjątkiem solitera nie mam żadnych kosztowności przy sobie, a że nie zwykłam nosić biżuterii na ulicy, więc ten potwór nie będzie wiedział o tym, co posiadam.

— Trudno to przewidzieć! — odparł baron Ogrowskij z jakimś dziwnym uśmiechem. — Ale pani baronowa pozwoli wyrazić sobie najwyższe uznanie za nadzwyczaj odważne postanowienie. Byłoby to niepowetowaną stratą dla nas, gdyby pani baronowa, po tak krótkim pobycie, opuściła nasze towarzystwo. O swoich uczuciach nie śmiem nawet mówić, wolę zamilczeć!

Wejście Frani, która jeszcze jedną niespodziewaną wizytę zameldowała, przerwało odpowiedź baronowej na silny komplement Rosjanina.

Do salonu weszli: baron Fehrenberg z żoną, hrabia Brisen i baron Oppen-Norden. Wszczęła się ogólna rozmowa.

Umówiono się, co do urządzenia wspólnej wycieczki w pobliskie sąsiedztwo, poczem baronowa zaprosiła wszystkich na herbatę.

Cały dzień upłynął towarzystwu na żartach i wesołej pogadance. Baron Ogrowskij nadskakiwał baronowej von Wimpfen, co lekkomyślna kobieta przyjmowała z zadowoleniem. Zapomniała zupełnie o Leonie i o księciu Teschinim, myślała tylko o pięknym Rosjaninie.

Ta nowa i gorąca namiętność tak ją zaabsorbowała, że przestała się nawet obawiać wampira Mediolanu. Przeżywała w szczęściu dni, w mieście, w którym nieludzka kobieta dzień za dniem pozbawiała życia niewinne kobiety i ograbiała je doszczętnie.

ROZDZIAŁ CXIII.

W domu obłąkanych

Podczas, gdy rodzice Sylwii martwili się nieobecnością swej córki, ta przeżywała straszne dni.

— Jakże się pani miewa? — spytał grzecznie dyrektor zakładu, gdy wszedł do niej pierwszy raz.

— Czy hrabia Wildenstein jest zawiadomiony o moim przybyciu? — spytała Sylwia poważnie.

— Tu nie ma żadnego hrabiego Wildensteina — odpowiedział zupełnie spokojnie dyrektor.

— Daruje pan — odpowiedziała Sylwia z błyskiem w oczach — ale ja wiem na pewno, że on jest tutaj.

— Czy wolno wiedzieć, skąd pani ma tę pewność? — zapytał znów dyrektor. Pisał mi o tym sam hrabia Wildenstein.

— Czy mogę prosić, aby mi pani pokazała ten list?

— Niestety, ukradli mi go! — odpowiedziała Sylwia.

— A czy nie byłoby niedyskretnem — spytał dyrektor, z lekkim uśmiechem — gdybym spytał, gdzie go pani skradziono?

— Po raz pierwszy spostrzegłam, że go nie mam, w tym małym domku, obok pańskiego zakładu, w którym mieszka dawna pacjentka doktora Ismara Cohena.

Ku wielkiemu zdziwieniu Sylwii, dyrektor przyjął tę wiadomość z niedowierzającym uśmiechem.

— Dostojna hrabianko — rzekł wreszcie spokojnie, ale stanowczo — przywiózł tu panią dziadek dla uleczenia lekkiego rozdrażnienia nerwowego.

Słowa te podziałały na Sylwię piorunująco. Oblała się purpurowym rumieńcem, a oczy jej rozwarły się szeroko z przerażenia.

— Padłam ofiarą haniebnej intrygi! — zawołała przeraźliwie.

— Niech się pani uspokoi — prosił Silas — i niech pani będzie przekonana, że dziadek chce tylko dobra pani.

— Mówi pan samymi zagadkami! — zawołała zrozpaczona dziewczyna. — Obawiam się, że ten łotr, który mnie tu zwabił, oszukał także grubo pana.

— A z czego to pani wnosi? — pytał dyrektor grzecznie.

— Bo przypuszczam, że pan jest człowiek sam zbyt honorowym i niezdolny do tego, aby mnie dla zysku tu przytrzymywać. Pan myśli, że ja jestem obłąkana, a ja przysięgam panu, że jestem przy zdrowych zmysłach i że mnie pan przetrzymuje tu zupełnie niepotrzebnie.

— Skoro się przekonam — odpowiedział uspokajająco doktor — że pani nie potrzebuje naszej opieki, wypuszczę panią z przyjemnością. Za kilka dni zjawi się tu dziadek pani, i z pewnością będzie się cieszył, widząc panią zdrową.

— Ależ panie, Cohen nie jest moim dziadkiem. Jeżeli on tak twierdzi, to kłamie!

Dyrektor znowu uśmiechnął się niedowierzająco i nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Wchodzącemu służącemu rzucił nazwisko:



W obawie przed kwietniowymi przymrozkami umieszcza się w sadach na Zachodzie t. zw. koksowniki, których ciepło chroni kwitnące drzewa przed zimnem.

— Pani Willemer.

Służący ukłonił się i znikł.

Za chwilę weszła do sali kobieta, mogąca mieć lat 25 do 30-stu.

Wyglądała bardzo dystyngowanie. Elegancka czarna suknia, pod szyją zakończona drogą koronką, spięta była diamentową broszką.

Taką samą koronką kończyły się rękawy. Włosy bujne, splecione były w warkocz i ułożone na głowie w koronę. Cerę miała tak białą i takie cudne, lekkie rumieńce, że trudno było uwierzyć, że są naturalne.

Wszystkie dozorczynie zakładu przysięgały, że były sztuczne.

Tylko oczy pani Willemer nie były ładne i nie ujmowały pięknością. Były jasno niebieskie, bardzo wypukłe i posiadały zimny wyraz. Zwykle przykrywała je powiekami i rzęsami.

Ręce jej były białe i malutkie, ale tak silne, że mogły każdego szaleńca prędzej ubrać w kaftan, niż dwie pary rąk męskich.

Pani Willemer była naczelną dozorczynią zakładu i przy stole siedziała na pierwszym miejscu. Codziennie, o różnych godzinach, przechodziła przez cały zakład i surowo karała wszelkie wykroczenia służby.

Prócz tego prowadziła korespondencję doktora, przeglądała rachunki i prowadziła całe gospodarstwo.

Pracowała bez wytchnienia, ale nikt nigdy nie widział u niej zmęczenia. Nigdy nie przyśpieszyła kroku, i nigdy nie podnosiła głosu.

O panu Willimerze nigdy nie mówiła. Mówiono, że jest rozwódką. Inni znowu mówili, że jest w Australii, inni znów twierdzili, że nie mógł znieść tyraństwa żony i powiesił się pewnego pięknego dnia na własnych szelkach.

— Pani Willemer — rzekł teraz doktor do przybyłej — oddaję hrabiankę Dornbruch w opiekę pani.

— Czy będzie pani łaskawa — rzekł, zwracając się do Sylwii — pójść z panią Willemer do pokoju, który jest dla pani przygotowany?

— Nie pójdę! — odpowiedziała Sylwia energicznie. — Pan nie ma prawa zatrzymywać mnie tu wbrew mojej woli. Proszę mi przyprowadzić pana Cohena, który mnie oszukał, chcę z nim mówić.

— Cohen wróci za kilka dni — odpowiedziała łagodnie Willemerka — niech więc pani będzie cierpliwą.

To rzekłszy objęła ją ramieniem i chciała ją łagodnie poprowadzić, ale natrafiła na stanowczy opór.

— Nie ruszę się stąd — odpowiedziała Sylwia — dopóki nie zobaczę tego oszusta, który mnie tu zwabił na zlecenie barona Sturmfedera, mego wroga i prześladowcę.

— Może pani napisze do rodziców? — mówiła Willemerka.

— A czy list zostanie odesłany? — spytała Sylwia.

— Ależ pani — odpowiedziała dozorczyni z łagodnym wyrzutem — czy pani naprawdę sądzi, że bylibyśmy zdolni list pani zatrzymać?

Sylwia zawstydzona spuściła oczy i przeprosiła ją.

— Czy widziała może pani w przedpokoju skrzynkę na listy? — rzekła Willemerka — jest ona właśnie dla użytku naszych pacjentów. Sama codziennie wypróżniam ją i oddaję zawartość posłańcowi pocztowemu.

Sylwia nie widziała tej skrzynki, poszła więc zobaczyć.

Zastanawiała się nad swojem położeniem.

Silas wyglądał jak człowiek uczciwy, który poważnie bierze swoje obowiązki.

Wyczuła, że bierze ją za obłąkaną i chciała się zachować tak, aby go wyprowadzić z błędu.

Pozwoliła więc spokojnie zaprowadzić się do swego pokoju, który na pierwszy rzut oka, niczym się nie różnił od zwykłego mieszkalnego pokoju.

Dopiero przy bliższym przypatrzeniu zauważyła, że drzwi nie dały się wewnątrz zamykać, że za oknem była kra-



Miejscowość belgijska Ypres słynna jest z czasów wojny światowej, z racji, że po raz pierwszy użyli tam Niemcy gazu wojennego, nazwanego później iperytem. Na zdjęciu katedra w Ypres, odbudowana po zniszczeniu w 1914 r.

ta, która uniemożliwiała ucieczkę przez okno.

Na umywalni stała miednica z biało lakierowanej blachy, taki sam dzban, karafka i szklanka. Przy drzwiach był dzwonek, który dzwonił, gdy drzwi otwierano. O ucieczce więc nie było mowy, zwłaszcza, że na każdy głos dzwonka zjawiała się natychmiast do zorczyni.

Gdy Willemerka otworzyła drzwi, przybiegła dozorczyni Szarlotta, młoda dziewczyna, bardzo czysto ubrana, o dziecinnym wyrazie twarzy.

— Obejmiesz opiekę nad panną hrabianką — powiedziała Willemerka.

Sylwia zażądała przybory do pisania.

— Nie będę pani przeszkadzać — rzekła Willemerka — zobaczymy się znowu przy stole. Jeżeli sobie pani czegoś życzy, to proszę powiedzieć Szarlocie. Skłoniła się i cichutko wysunęła się z pokoju, zanim Sylwia mogła odpowiedzieć.

W godzinach popołudniowych poprosiła Sylwię do siebie. Mieszkała w nadzwyczaj eleganckim pokoju, gdzie starała się zabawiać jak najuprzejmiej Sylwię.

Rozmawiając, przygotowywała na maszynce spirytusowej jakiś wonny napój i wlała go potem do dwu szklanek rżniętych w jakieś starożytne ornamenta.

Przytem do szklanki Sylwii wlała nieznacznie kilka kropel jakiegoś przezroczystego płynu.

Sylwia piła i czuła cudowne działanie napoju. Doznawała jakiegoś ożywienia i krew szybciej zaczęła krążyć w jej żyłach.

Wnet jednak to błogie uczucie ustąpiło, a w miejsce jego przyszła jakaś trwoga.

Nagle ozwał się głos dzwonka.

— Obiad! — rzekła pani Willemer wstając — pójdziemy!

Sylwia wstała, ale kolana uginały się pod nią i drżały jej ręce i nogi.

Willemerka wzięła ją za rękę i poprowadziła przez korytarz.

Z jakiegoś pokoju dolatywał śmiech obłąkanej i Sylwia ku ogromnemu swemu przerażeniu zauważyła, że mu wtóruje.

Chwyciła się za głowę, w której uczuła ból i jęknęła.

ROZDZIAŁ CXIV.

Nowy błazen w cyrku Ferier

O zmierzchu wieczornym wchodził przez bramę Triestu jakiś zmęczony podróżny.

Młody był i przystojny, ale bardzo wynędzniały.

Odzież jego, niegdyś z bardzo dobrego materiału, była teraz bardzo zniszczona, spłowiała i niezręcznie pozaszywana, buciki zaś prawie zupełnie podarte.

Węzełek, który niósł na plecach był bardzo mały.

Ten znużony wędrowiec, wyglądający na włóczęgę, to niedawno jeszcze elegancki, Leon Waldau.

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie po jego zerwaniu z Lolą i ucieczce z hotelu, ale ten krótki czas wystarczył aby tak zmienić jego powierzchowność.

Z początku był jakby ogłuszony. Potem dopiero idąc powoli przed siebie bez celu z brzemieniem rozpaczy w duszy, wyzwalał się z namiętności i zaczął pogardzać kobietą, która go unieszczęśliwiła.

Najbardziej go bolało to, że sobie samemu musiał przypisać winę wszystkiego i przyznać, że własną ręką zniszczył swoje szczęście.

Stracił szacunek dla siebie. Przeszłość miał skalaną ciężką winą, czego więc mógł spodziewać się od przyszłości?

W przystępie rozpaczy, chciał sobie nawet odebrać życie ale od wykonania tego strasznego zamiaru powstrzymała go myśl o Hortensji, która jak anioł stróż stanęła w myślach przy nim w tej strasznej chwili.

Dla niej chciał żyć i wobec niej odpokutować swą winę. Na myśl o tej słodkiej, niewinnej istocie, która przez niego cierpiała tak niezasłużenie, poruszyło się w nim serce.

Może ona teraz cierpi nędzę przez niego! Obowiązkiem jego było wyrwać ją z niej i zaopiekować się jej losem, wrócić jej szczęście, które jej zabrał, a które jej dać powinien. Odczuwał gorzki żal i skruchę, a pocieszała go tylko myśl, że Hortensja była taka dobra, taka czysta jak anioł i że nawet w nędzy brud życia jej nie skala.

Ale tu znowu dręczyła go niepewność jak ona sobie poradzi? Ona, która była nieporadna jak dziecko. Może zeszła z uczciwej drogi w walce o byt?

Na samą myśl o tym Leon rzucił się na ziemię i począł sobie rwać włosy z głowy! Modlił się do Boga o opiekę nad nią. Całymi dniami gnębił go ból i troska i doznał tylko wtedy ulgi, gdy myślał, że Bóg zaopiekował się jego nieszczęśliwą żoną.

Pożywiał się w samotnych karczmach. Sypiał pod gołym niebem i w ten sposób żył z dnia na dzień, aż pewnego dnia opamiętał się, postanawiając zmienić dotychczasowy tryb życia.

Pieniądze swoje i Vittoriny, które odkrył ze wzruszeniem, wydał już dawno. Musiał więc pomyśleć o zdobyciu środków do życia.

Prędko więc bez wytchnienia, szedł ku granicy swej ojczyzny. Tam postanowił zabrać się do pracy, wyrobić sobie pewną egzystencję i wreszcie uzyskać przebaczenie Hortensji.

Po drodze szukał zajęcia, nigdzie go jednak nie mógł znaleźć. W polu robić nie umiał, pomagać przy murarce także nie, a innej roboty nie było.

Tu i ówdzie zdarzyło się, że jakaś litościwa chłopka dawała mu posiłek. Przyjmował go z pokorą, której nauczył się w ciężkich czasach.

Zmęczony, obdarty i głodny wszedł do Triestu zdecydowany nie cofnąć się przed żadną pracą.

Wzrok jego padł na słup kamienny, oblepiony różnokolorowymi afiszami zapowiadającymi przedstawienie w cyrku.

W czasie odczytywania afisza poczuł że go ktoś ciągnie za rękaw.

Odwrócił się.

Za nim stała maleńka dziewczynka, mogąca mieć najwyżej trzy lata.

— Mój panie — rzekła do niego — zaprowadź mnie do mego ojca, gdyż nie mogę do niego trafić.

— Dobrze maleńka — odpowiedział — ale musisz mi powiedzieć, gdzie twój tatuś mieszka.

— Ty rozumiesz co ja mówię? — cieszyła się dziewczynka — dotychczas z ludzi nikt mnie nie zrozumiał. Mój ta-

Ciąg dalszy na str. 377.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

WIOSNA...

Coś gra w sercu nutą rzewną,
Rwie się z duszy tęskny żal
I odgłosy słyszę śpiewne
Z pośród fal.

Widzę łak zielone łany,
Słońca krwawy blask,
Iluzjami chmur owiany,
Jakiś tęskny, zasłuchany
Ranny brzask.

Słońce wstaje tarczą złotą
Z pośród chmur,

Koi rwącą dusz tęsknotę,
Sypie z nieba iskry złote,
Rozjaśniając bór.

Rosa perli się na na kwiatach,
W sercu nowe wstają kwiaty
I zbudzone sny.

Irena Kaczorowska.

NOWY GOŚĆ „KRAINY"

„Rumunka". Najnowszym gościem w „Krainie" jest „Rumunka". Przybyła Ona do nas z dalekich stron, bo aż z nad Neru. Jak wnioskuję z listu, „Rumunka", jest studentką. Ma ładne, ciemne oczy i piękne loki. To ostatnie zdradziła mi fotografia, dołączona do listu. Jeżeli ktoś zainteresuje się „Rumunką", niech nadeśle list na moje ręce.

DWIE SIOSTRZYCZKI PRAGNĄ NAWIĄZAĆ KORESPONDENCJĘ

„Hajduczek" i „Irmgarda". Wszystko, o co tylko mnie Panie w liście proszą, spełniam. A więc najpierw przyjmuję Panie do „Krainki", a następnie zamieszczam urywek z listu Pań:

„Hallo Tu „Irmgarda" i „Hajduczek", dwie siostrzyczki, pozbawione zupełnie towarzystwa, pragną nawiązać korespondencję z jakąś pogodną osobą.

Mieszkamy zdala od miasta, więc listy mieszkańców dużych miast sprawią nam szczególną radość.

Pozdrawiamy serdecznie „Wesolego cowboy'a" i „Rudiego". Uścisk dłoni dla „Białej Uajali"!

NAPISZĘ OSOBIŚCIE...

„Ar". List Pani poruszył mnie. Jak tylko znajdę chwilkę wolnego czasu odrazu napiszę do Pani osobiście. Tym czasem ślę Pani mocny uścisk dłoni.

OCZEKUJĘ...

„Wiejski Chłopiec". Stosownie do zapowiedzi Pana oczekuję tego długiego listu, a tym czasem zamieszczam krótki liścik Pana:

„Hallo! „Wiejska Dziewczynko"! Czy odebrałaś list z poste - restante, pocz. Korze.... od „Wiejskiego Chłopca"? Serdecznie Cię pozdrawiam!

„Stęsknionej Irce" przesyłam moc uścisków — za miłe pozdrowienia.

Równocześnie łączę serdeczne pozdrowienia dla: „Merle", „Lawiny", „Barci" i „Samotnej Sosenki".

WARTO NAPISAĆ!

„Hallo! Tu Poznań! Dwaj studenci chcieliby nawiązać korespondencję z sympatycznymi paniami. Jeden z nas (Tadek) jest wysokim brunetem, drugi (Kazik) jasnym szatynem. Każdy z nas ma bardzo wszechstronne zainteresowania artystyczne, intelektualne i sportowe. Odbyliśmy wiele dalekich (zamorskich) podróży. Więcej wiadomości o sobie podamy w listach. Adres: Collegium Medicum, Poznań, ul. Fredry 10, dla okaziciela dowodu osobistego nr. 4149.

„CHĘTNIE NAWIĄŻĘ"...

„Złote Słoneczko" przesyła „S. p. I. Sydney" kilka następujących słów:

„Chętnie nawiążę z Panem korespondencję. Jestem jasną blondyneczką, przystojną, zapaloną sportsmenką. Mieszkam w Bydgoszczy".

CZY MOGĘ?

„Bursztynowe Serduszko". Ten „brzydal" ogromnie mi się podoba! Czy mogę go wsadzić na łamy „Krainki"? A może tę drugą fotografię — chętnie poczekam?

Mocno całuję buzię za prze — przemiłe słowa i... do następnego listu!

Komunikaty „Bursztynowego Serduszka":

„Kochanie", bardzo proszę o malutki wierszyk. Chyba mi nie odmówisz? Uznanie za wierszyk — „Szczęście"!

„Nie — biednej" donoszę, że nie jestem z Poznania, mam tam tylko kogoś bardzo miłego. Przesyłam tysiące pozdrowień.

„Mice — milutkiemu urwisowi": „Tyś jest dla mnie tajemnicą, jak cały ten świat, tylko z małą tą różnicą, że masz dwadzieścia lat"...

„Rose — Marie", „Baśce z Koła", „Czarnookiej Wandzie", „Hance z nad Niemna". Zranionej Ptaszynie", „Pustelnikowi z nad Drwęcy", „Rybakowi z Helu" i „Rudiemu 220—380" — moc serdecznych pozdrowień!"

DOPIERO DZISIAJ...

„Banialuka". Nie wiem, czy „wkopałam" Panią, bo pocztówka dopiero dzisiaj dostała się do moich rąk. Bardzo Panią proszę o szybkie wiadomości — dlaczego — Pani domyśla się, prawda?

KUJAWY MAJĄ GŁOS!

„Alransm". Biorąc pod uwagę „szczerą i nieprzymuszoną wolę" Pana, pasuję dzisiaj Pana na członka „Krainy", ściskam Panu mocno prawicę i życzę dużo przyjemności w naszym gronie.

„Alransm" w swym liście donosi:

„Utarło się powiedzenie, że wszyscy Kujawiacy są uparci, ale musi to być widocznie prawdą, skoro i ja, rodowity Kujawiak, jestem wielkim uparciuchem. Z natury jestem nieśmiały. Mam ciemne oczy i ciemne włosy i... poza sobą „wojsko", z czego jestem bardzo dumny.

„Madzi", „Lusi" i „Mary Lu" — przesyłam pozdrowienie z Kujaw.

„Nie — biedną" — pozdrawiam! Musi być Pani naprawdę zasobna w przymioty duchowe, co wnioskuję z listów Pani. Pragnąłbym poznać Panią bliżej.

„Lawino", bardzo lubię takie czupurne istotki, jak Ty. Chętnie podejmuję rzuconą przez Ciebie rękawicę!"...

NIE MOŻNA...

„Słodka Maruszka". Zebrane wiadomości o mnie — polegają na prawdzie. Jestem zdumiona świetną intuicją Pani, bo chyba o żadnych informacjach nie może być mowy, prawda?

Adresy Sympatyków „Krainy" są tylko wyłączną własnością redakcji. Dział administracyjny wydawnictwa, ani drukarnia — nie wie o nich.

Co do sprawy ogłoszeń matrymonialnych, to niepotrzebnie Pani się martwi. Dobre intencje Pani wystarczą, a ludzie... o jak nieraz są niesprawiedliwi w swych sądach!... Nie można więc dla błędnych ludzkich sądów rezygnować z tego, co jest szlachetną i miłą rozrywką. Niech za tym wystarczy Pani świadomość, że nie robi Pani nic złego, nic takiego, co by uwłaszczało Pani godności i kontynuuje dalej rozpoczętą korespondencję. Czy posłucha mnie Pani?

Ślę Pani siostrzany uścisk dłoni!

PROŚBIE STAŁO SIĘ ZADOŚĆ

„Ninette". Prośbie Pani stało się zadość! Za serdeczne słowa życzeń — ściskam Pani mocno dłonie. I kończę — bo w dzisiejszym odcinku „Krainy" braknie miejsca na dłuższe odpowiedzi!

„UCIESZĘ SIĘ, JEŻELI NAPISZE DO MNIE KTOŚ Z GRUDZIĄDZA"...

P. F. z Śliwic. Na wstępie proszę Panią o zmianę pseudonimu, gdyż w pierwszym wydaniu brzmi on trochę nienaturalnie, a następnie dopiero oddaję do przedruku liścik Pani:

„Po dość długiej przerwie piszę znowu do „Krainy", piszę z nadzieją, że wśród licznej rzeszy dusz znajdę jedną, o której marzę — bratnią duszę. Smutno mi, więc może znajdzie się ktoś, co da mi szczęście i zapomnienie o tym, co boli.

Ucieszę się jeżeli napisze do mnie ktoś z Grudziądza, gdyż w mieście tym obecnie mieszkam".

NAJLEPIEJ BĘDZIE...

„Te — Em". Z treści listu widzę, że święta spędził Pan istotnie wesoło. Wierzę, że po tylu pięknych wrażeniach nie chce się „wkuwać" i ślęczeć w czterech ścianach sali wykładowej, ale od czego silna wola, prawda?

Projekt Pana jest wysoce oryginalny, ale ostatnio, wytworzyło się tyle podobnych projektów, że nie sposób je wszystkie zamieścić. Najlepiej będzie, gdy przyłączy się Pan do jednego z obozów, jakie znajdują się obecnie w „Krainie".

Dopisek zamieszczam:

„Dziękuję za pozdrowienia „Basi", do której w najbliższych dniach napiszę. „Marice" „Milutkiemu Lilątku" i „Wisze" — dużo pozdrowień!

Hallo! P. J. F. Płóciennik! Znam Pana z okresu mego pobytu w Poznaniu. Poza tym pisał Pan do tych czasopism, do których i ja pisałem. Pamiętam doskonale Pańskiego „Pastuszka". Czy to pismo, w którym ta nowela była drukowana, wychodzi jeszcze? Pamięta Pan mojego „Garbusa"? Jeżeli tak, to wie Pan, jak się nazywam. Może napisze Pan do mnie kilka słów? W Poznaniu jestem kilka razy do roku.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" z Poznania — jak najserdeczniejsze pozdrowienia. Liściki z tego miasta będą przeze mnie mile widziane, a odpowiedzi na nie ciekawe, gdyż Poznań znam, jak własną kieszeń.

Na zakończenie zostawiłam sprawę Pańskiego wierszyka — „Nudy". Otóż utworek ten jest gładki i miły, ale z czystym sumieniem nie mogę go zakwalifikować do druku. Może Pan poprawi czwartą zwrotkę i dorobi inne zakończenie, a z przyjemnością zamieszczę go. Żegnam Pana szczerym uściskiem dłoni!

CZY BĘDZIE ODWAGA?

„Królowa Awanturnica" zapytuje, czy będzie miał ktoś odwagę, nawiązać z Nią korespondencję. Jeżeli tak, niech skieruje list na poste - restante, Tczew, (Pom.) — dla „Królowej Awanturnicy".

POZDROWIENIA PRZEKAZUJĘ!

„Ciemnooka Ira". Ucieszę się, jeżeli dopnie Pani swego celu i zapisze się na Uniwersytet Ludowy w Dalkach. Stamtąd może Pani również do mnie pisywać, gdyż poza nauką, znajdzie Pani napewno trochę czasu na korespondencję. Prawda, że to możliwe?

Pozdrowienia, przeznaczone przez Panią dla: „Dzikiej Cyganki", „Cyganki o smętnych oczach", „Stokrotki", „Cygana", „Samotnego Genia", „Sportowca" i „Nr. 703" — przekazuję!

KORESPONDENCJA

„Skoczybrózda II". 24-ni blondyn o wesołym usposobieniu chętnie nawiąże korespondencję z wesołymi paniami do lat 20-tu.

„CZEKAM Z TĘSKNOTĄ"...

„Blady Płomień". Trudno byłoby mi oprzeć się sympatycznej prośbie „Bladego Płomienia", a więc:

„I ja staję w szeregu sympatycznych „Krainiaków". Kim jestem? Pomorzanką, szatynką o wielkich, niebieskich oczach, patrzących na świat trzeźwo, choć smutnie. Smutnie dlatego, że ciernie życia zraniły przedwcześnie moją duszę, kładąc piętno bólu (dziś już uśmierzonego) i cień smutku w oczach.

Cisza wiejskich pól jest od roku moją przystanią, a książka jedyną rozrywką. Liściki od Sympatyków, czuję, że wniosą w moją samotnię, trochę światła, dlatego czekam na nie z tęsknotą".

„ROZPORZĄDZAM DUŻĄ ILOŚCIĄ CZASU, WIĘC CHCIAŁBYM NAWIĄZAĆ SKIMŚ KORESPONDENCJĘ"

„Stary Kawaler". Apel Pana zamieszczam bardzo chętnie i dziękuję Panu za słowa uznania.

„Jestem 36-letnim zawodowym kawalerem. „Zawodowym", bo spotykały mnie stale zawody w miłości, oczywiście nie z własnej winy. Wykształcenie mam średnie (matura gimnazjalna). Jestem rodowitym Pomorzaninem. Ostatnio rozporządzam dużą ilością czasu, więc chciałbym nawiązać skimś korespondencję. Która z sympatycznych Czytelniczek odważy się i poda mi swój adres?"

BOJĘ SIĘ...

„Zbijobruk Poznański". Na wstępie dziękuję Pani za serdeczność. Boję się, że porosnę w piórka od tych pochwalnych, pełnych szczerego entuzjazmu, listów. Naprawdę boję się!

List Pani zamieszczam i życzę obfitej korespondencji.

„Pseudonim mój — „Zbijobruk Poznański". Od rana do wieczora zbijam bąki na bruku stolicy Wielkopolski, a w lecie z przydomkiem „powsinogi" lub „włóczykija" odwiedzam wszelkiego rodzaju ciotki i wujów, chociażby z 15 pokolenia, wszystko dlatego, że już we krwi mam „reisefieber". Prócz tego charakter mam „wcale, wcale możliwy", podobnie wiek i wygląd, jak przystoi na morową dziewuszkę. Umiem być poważną, choćby przez 5 minut; czasami dłużej, lecz to zależy od okoliczności. Niech ktoś „skrobnie do mnie".

BARDZO CHĘTNIE!

„Broneczka". Brakujący numer prześlemy Pani bardzo chętnie, ale musi nam Pani nadesłać swój dokładny adres.

„Pragnęłabym poznać szczerą, bratnią duszę"...

Może skomunikuje się Pani z „Polną Różyczką II", „Przyćmioną Gwiazdeczką" lub „Darią", które to Sympatyczki chciałyby nawiązać nić szczerej przyjaźni. Myślę, że nie zawiodłaby się Pani! Łączę dużo pozdrowień!

Z listu „Broneczki":

„Czy wśród Sympatyczek znajduje się jakaś uczennica Szkoły Gospodarczej w Kow. z roku 1933/34? Jeżeli tak — niech się odezwie do mnie.

„Moc pozdrowień przesyłam „Złamanej Brzózce", „Marucie", „Maruszce", „Wiltyemu", „Zawiedzionemu", „Wytwornemu Włóczędze" „Nr. 703", „Zgodziszowi" i P. M. Grzegorskiemu z Sosnowca."

CZY ZNA?

„Milutkie Lilatko" przesyła milutkie pozdrowienia „Stachowi spod Żnina" i zapytuje Go, czy jeździł kiedyś do gimnazjum, do Inowrocławia.

„Czarnulce ze Świecia" śle buziaczki i — czy „Czarnulka" zna p. Wiktora Reinskiego? O ile tak, niech Mu przekaże pozdrowienia od „Milutkiego Lilatka".

„Słodkiej Danusi", „Te - Em" i „Fakirowi" — dużo miłych pozdrowień!"

KOMUNIKATY Z SOSNOWCA

„Hallo! Tu Mieczysław Grzegorski! „Czarodziejkę", oraz „Rose - Marie" proszę o przesłanie mi dokładnych adresów, gdyż chcę do Nich napisać i przesłać im moje fotki! Również proszę o kilka słów: „Kujawiankę", „Blankę", „Te - Em", „Rudiego 220—380", „Narcyza", „Nr. 703" i „Stela". Każdemu z nich przyrzekam ładną fotografię. Adres mój znajduje się w numerze 13-tym „Moich Powieści". A więc — czekam!"

„CHCIAŁABYM OTRZYMAĆ LISTY OD"...

„Daria", mieszkanka Śląska Cieszyńskiego, pisze:

„Mieszkam w wiosce bardzo malowniczo położonej. Zewsząd otaczają ją góry. Lubię ogromnie wycieczki górskie.

Postanowiłam narazie nie przedstawiać się, a jeżeli ktoś zainteresuje się mną, dowie się wszystkiego o mnie z listów.

Chciałabym otrzymać listy od: „Smutnej Wandeczki", „Małej Konwalijki", „Stokrotki", „Niebezpiecznego Gościa" i „Solidnego Ślązaka".

W PEŁNI WIOSNY TRUDNO PISAĆ O ZIMIE...

„Przedwiośnie". Najpierw komunikaty:

„Roześmiana Ziuteńko", ślę Ci dużo dobrych, cichych słów i — uśmiechnij się, Droga „Dziewczynko.

„Mariko", mam dla Ciebie moc sympatii i uznania. Serdecznie pozdrawiam, Dzielną Dziewczynkę.

„Czarodziejko", jestem również amatorką konnej jazdy, ale mieszkam w mieście, więc rzadko ją uprawiam. Łączę miłe pozdrowienia!"

...a teraz dopiero właściwa odpowiedź! Przede wszystkim muszę Pani zdradzić, że nazwisko, podane w liście jest trafne. Ciekawa jestem w jaki sposób doszła Pani do sedna prawdy. Dowiem się o tym w następnym liście, prawda?

„Saneczki i śnieg pomijam milczeniem. Widzę bowiem za oknem brzozy, okryte zielonymi listeczkami i czuję na sobie ciepło wiosennego słońca, trudno mi więc, wobec takiego stanu rzeczy, pisać o zimie. Odłożymy najlepiej ten temat do następnego śniegu!

Wyrażasz, Kochanie, obawę, że piszesz do mnie zbyt często, a nawet podejrzewasz, że mnie listy Twoje nudzą! — To tylko złudzenie, Droga Dziewczynko! Listy moich Sympatyków nigdy mnie nie nudzą, pisałam o tym już tyle razy i dzisiaj jeszcze raz powtarzam.

Czy teraz już skrupuły „Przedwiośnia" znikną? Powinny!

Serdecznie pozdrawiam, Kochane „Przedwiośnie" i proszę Je o nowy liścik.

...ABY BYŁA JASNĄ, ZŁOTĄ „GWIAZDECZKĄ"

„Przyćmiona Gwiazdeczka". Jak wskazuje pseudonim, nowa Sympatyczka „Krainy", jest smutną osóbką. Kto więc pocieszy Ją, aby była jasną, złotą „Gwiazdeczką"?

„Cyganowi", „Samotnemu Geniowi", „Sportowcowi", „Młodemu Orłowi", „Żołnierzykowi z Grodu Lecha" i „Artylerzyście" — śle „Przyćmiona" Gwiazdeczka" dużo pozdrowień.

INFORMACJE, DOTYCZĄCE PRZEKAZYWANIA LISTÓW ZA POŚREDNICTWEM „KRAINY"

„Polna Różyczka II". Treść pocztówki Pani podaję do ogólnej wiadomości:

„Na apel „Smutnej Irutki" donoszę, że przez kilka lat mieszkałam w Kleczewie, następnie w Koninie. Może „Irutka" napisze do mnie, a chętnie odpowiem.

„A teraz, jak wygląda „Polna Różyczka II" — nowa sympatyczka „Krainy"? Otóż jestem wysoką (1,65 cm) szatynką o niebieskich oczach i wiecznie pogodnej duszy. Kocham sport, muzykę, taniec, oknie i... miłych chłopców, ale tylko o dużych walorach intelektualnych. Zainteresował mnie bardzo „Nr. 703". Może tajemniczy brunet skreśli do mnie pierwszy kilka słów, odsłoni przyłbicę i poda mi swój bliższy adres.

„Czy „Smutny Sztubak" naprawdę taki smutny?

„Rudi 220—380" ma w sobie coś, co nie daje mi spać spokojnie".

Na zakończenie podaję Pani żądane informacje, dotyczące przekazywania listów za pośrednictwem „Krainy": wystarczy włożyć list w kopertę, zaopatrzoną pseudonimem, dołączyć do niej znaczek i przesyłkę skierować na moje ręce. Reszta należy już do mnie.

„CZY ZAREAGUJE KTOŚ"...

„Felona". Na zakończenie jeszcze jeden króciutki apel:

„Chciałabym porozmawiać listownie z jakąś bratnią duszą. W życiu doznałam już wiele przykrości, mimo to jednak nie tracę nadziei w lepszą przyszłość. Czy w „Krainie" zareaguje ktoś na mój apel?"

Teczka Wujka Janusza

DZIĘKUJĘ!

„Blanka". Długo musiałem czekać na ostatni list Pani ale wreszcie otrzymałem go. Przyniósł mi, jak zwykle, dużo życzliwych i serdecznych słów. Dziękuję za nie!

Z wierszyków wybrałem do druku „Gdy ciebie stracę..."

Pozdrawiam Panią serdecznie i kończę, gdyż nie starczyłoby miejsca na dopisek Pani.

„Dumko", dziękuję za życzenia. Wkrótce napiszę. Pozdrawiam Cię, Nuno.

Marylko O., napiszę również, tylko obecnie mam dużo pracy. Uściski.

P. M. Grzegorskiemu dziękuję za wzmiankę. Wiersze Pana są ładne i pełne treści. Proszę przyjąć wyrazy uznania.

„Czarny Hajduczku", dziękuję za tyle miłych pozdrowień i... proszę napisać do mnie kilka słów, gdyż mam wielką ochotę poznać Panią osobiście. Byłoby to wcale nie trudno, gdyż mieszkamy niedaleko siebie, a może nawet znamy się już. Czekam i ściskam dłoń.

Césiu Staniszówno, przyjm ode mnie uściski i całusy. Napiszę z całą pewnością, tylko czekam na nowy adres od M. Pozdrów ode mnie Jankę.

Pozdrawiam również „Goplanę", oraz Kasieńkę Wilczewską w Samborze. Napisz, „Primarero", co u Ciebie nowego, jakie wyniosłaś wrażenie z Zacisza?"

CZY WOLNO?...

„Kochanie". Fotografia Pani wprawiła mnie w zachwyt. Czy wolno ją zamieścić w „Krainie", a może na okładce „Moich Powieści"?....

Na wymienionych przez Panią filmach byłem i wyniosłem o nich opinię podobną, jak Pani.

Nowelka, zamieszczona w „Asie", nie była moim utworem.

Kończąc, zasyłam ślicznej p. Oli mocny uścisk dłoni!

OTRZYMAŁEM

P. T. R. z O. Wiersz „Kwiaty" — otrzymałem. Niżej zamieszczam go i serdecznie P. pozdrawiam.

KWIATY

Sympatyczkom „Krainy Szczerości" — poświęcam.

Zakwitły kwiaty w ogrodzie, jak zorze,
Mienią ich barw, kolorów, odcieni,
Każdy kwiat pachnie i cudnie się mieni —
Zakwitły kwiaty w ogrodzie, jak zorze.

Możnaby ich narwać tu całą dłonią,
Przycisnąć czule do piersi, jak dziecię,
Tak do nas śmieje się to barwne kwiecie —
Możnaby go narwać tu całą dłonią.

Rzucam ostatnie spojrzenie na kwiaty,
Przykro naprawdę opuścić ich grono,
Niestety, zorze wieczorne już płoną —
Rzucam ostatnie spojrzenie na kwiaty.

Tadeusz Rawicki.

WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU

P. M. G. Sosnowiec. Dziękuję Panu za pozdrowienia. Odwzajemniam je stokrotnie. Nadesłane wiersze: „Wiatr wiosenny", „Błogosławieństwo matki" i „Karminowe wargi" — dobre! Wszystkie pójdą do druku.

Raj kobiet



Najnowsze okrycia wiosenne są pełne prostoty i zarazem wyszukanej elegancji.

W przededniu koronacji królewskiej w Londynie

W dniu 15 maja br. odbędzie się uroczysta koronacja króla Jerzego VI. i jego małżonki Elżbiety.

W związku z tym przybywają do Londynu nieprzeliczone rzesze przedstawicieli różnych narodowości świata. Hotele i domy mieszkalne są już obecnie przepełnione, pomimo, że zaledwie połowa gości przybyła do Londynu. Reszta napłynie w ostatnich dniach, poprzedzających koronację.

Mimo to jednak biura wynajmu miejsc na trybunach, sprzedawają już obecnie bilety wstępu. Bilety te można nabyć w cenie od 70 do 150 zł.

Jedyna okazja zobaczenia za darmo pochodu koronacyjnego i to z dobrych punktów obserwacyjnych, nadarzyła się Londyńczykom wczesnym rankiem w ubiegłą niedzielę, gdy z Pałacu Buckingham wyruszył do Opactwa Westminsterskiego próbny pochód koronacyjny. Kilka zwykłych prób odbyło się w ciągu tygodnia — generalna próba w niedzielę. Wiele tysięcy bezpłatnych widzów pochodu koronacyjnego spędziło całą noc w mieście, by o świcie zająć na dwie godziny trybuny, przeznaczone dla zamożniejszych gości koronacyjnych.

W Londynie znajduje się już między in. kategoria widzów t. zw. „nieproszonych gości". Przybyli oni na małych statkach i dużych okrętach, przybywających z zamorskich portów brytyjskich i z Dominiów na wody Tamizy. Śledztwo ujawniło, że na dzień koronacji wybrało się bez biletów i paszportów do Londynu mnóstwo studentów uniwersytetów kanadyjskich i z Południa. Wielu pasażerów „na gapę" przepłynęło Ocean Indyjski, lub Atlantyk w stanie kompletnego wyczerpania fizycznego, w ukryciu pod podkładem towarowych statków, często nie tylko bez jedzenia, ale i wody do picia! Angielskie ustawy przewidują za podróż morską „na gapę" grzywnę w wysokości pięciuset złotych, lub miesiąc więzienia. Zdarza się jednak często, iż, jeśli wykryty w czasie podróży morskiej pasażer bez biletu sprawuje się dobrze, t. j. wykonuje pożyteczną pracę, unika kary, bo kapitan okrętu puszcza przewinienie w niepamięć. Gorzej się jednak przedstawia sprawa z pasażerami na gapę, nie posiadającymi obywatelstwa brytyjskiego, ci — zamiast na koronację, wędrują z miejsca do więzienia, a następnie ulegają deportacji.

Duży odsetek pasażerów na gapę z portów brytyjskich, lub Dominiów, przybywa nad Tamizę zarówno po to, aby wziąć udział w koronacji, jak i w nadziei znalezienia pracy w ciągu obecnego okresu „boomu" zbrojeniowego.

Stolica Anglii rozbłyśnie także całym blaskiem najwspanialszych piękności kobiecych. Na uroczystości koronacyjne do Londynu przybędą najwybitniejsze przedstawicielki arystokracji wschodniej. Wśród nich na pierwszy plan wysuną się księżniczki hinduskie, których przybycie spodziewane jest już niebawem.

Niektóre z nich są już dobrze znane „śmietance" towarzyskiej Londynu. I tak np. maharani z Cooch Behar niejednokrotnie już była podziwiana w wytwornych kołach londyńskich. Ojciec jej, sir Sayajtrao, Gaekwar z Baroda, jest władcą drugiego z rzędu pod względem bogactwa państwa w Indiach. Nastrojony nowocześnie, zaprawiał on swoją córkę już od najwcześniejszych lat do różnych męskich sportów.

Już w 15 roku życia piękna maharani jeździła wprawnie konno, dosiadając nieraz rumaków, które miały opinię bardzo niebezpiecznych. Maharani z Cooch Behar jest namiętną zwolenniczką polowań na tygrysy. Przebywając w Indiach, urządza sobie co 2 tygodnie „wypad" do dżungli, skąd przywozi wspaniałe trofea myśliwskie, m. in. tygrysy bengalskie, najgroźniejsze z pośród różnych odmian dzikiego zwierza. Będąc w Anglii, maharani przepędza również większość czasu na polowaniach.

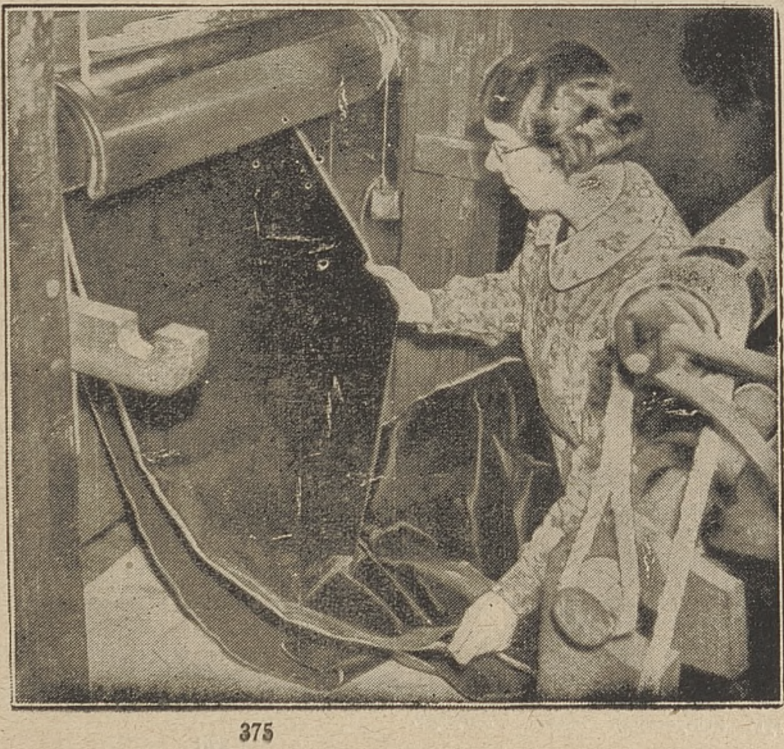
Przybędzie również nowoczesna maharani — księżniczka z Indory. Nie imponują jej najwspanialej nawet urządzone hotele Londynu. Jej bowiem pałac w Indiach środkowych jest „ostatnim krzykiem" nowoczesnej architektury, położony wśród ogrodów kwiatowych, o wspaniale utrzymanych alejach. Cała armia wykwalifikowanych ogrodników przy pomocy specjalnych aparatów elektrycznych kontroluje stale temperaturę i stan wilgoci w powietrzu, w ogrodach, urządzonych też wewnątrz pałacu. Ściany tych fantastycznych oranżeryj są z błękitnego szkła, wszystkie meble zaś z aluminium.

Przed trzema laty księżniczka z Indory przybyła umyślnie do Paryża, aby powić tam pierwsze swe dziecko pod opieką najwybitniejszych lekarzy. Nie czuła się jednak dobrze w sanatorjach paryskich, za mało dla niej komfortowych, to też wkrótce powróciła do swego bajkowego pałacu w Indiach.

Wśród egzotycznych piękności, które uczestniczyć będą w uroczystościach koronacyjnych w Londynie, znajdzie się również maharani z Kaszmiru. Kobieta ta ma sławę posiadania najpiękniejszej cery ze wszystkich kobiet na świecie. Gdy wraz ze swym małżonkiem sir Hary Singh przybędzie do Londynu, wywoła niechybnie sensację wśród wszystkich tutejszych właścicieli salonów piękności. Maharani z Kaszmiru posiada cudowną tajemnicę utrzymywania pięknej cery. Podobno krem, którego używa na twarz po umyciu jej mydłem z drzewa sandałowego, jest jedynym artykułem, wyprodukowanym na zachodzie. Reszta środków kosmetycznych, to wszystko jakieś tajemne mikstury wschodnie, robione według prastarych specjalnych recept.

W Kaszmirze przygotowano dla maharani specjalną toaletę, w której wystąpi na koronacji króla Jerzego VI. Jest to szata o trenie 9-metrowej długości, z jedwabiu, zasianego haftem złotem i srebrnym. Całość jest tak cieniutka, że można ją złożywszy, zmieścić w jednej dłoni.

Najbogatszą i w najkosztowniejsze klejnoty zdobną maharani ze wszystkich, które przybędą do Londynu, jest żona następcy tronu z Hyderabad. Pochodzi ona z kalifów tureckich, a wzrok jej jest tak fascynujący, iż nazwano ją „najurodziwszą córą Wschodu". Teść jej, Nizan z Hyderabad, największy bogacz świata, ofiarował jej jako prezent ślubny klejnoty, które



Przygotowanie do uroczystości koronacyjnych w Anglii wykonywano z ścisłym przestrzeganiem tradycji. Koronacyjny płaszcz królowej, na który użyto 10,5 m. jedwabiu, zrobiono na stuletnich krosnach, jak to przedstawia nasze zdjęcie.

pod względem wartości i blasku idą tu za sławnym „kohinorem".

Żona następcy tronu z Hyderabad jest pierwszą kobietą w rodzinie panującej, która zrzuciła tradycyjny welon z twarzy i całą swą urodę pokazała światu. Adorują ją specjalnie dzieci szkolne, ponieważ bierze często udział w ceremoniach rozdawania świadectw i nagród.

A teraz kilka słów, dotyczących bezpośrednio królewskiej pary, oraz jej najbliższej rodziny. Otóż królewscy historycy z młodszej generacji, jak H. Bolitho, piszą już dzieła o Edwardzie VIII., podkreślając, iż Edward zawiódł jako przywódca i młody król, ale odniósł pełny sukces, jako Książę Walii. Nowa królowa Elżbieta jest w pierwszym rzędzie działaczką społeczną i, podobnie jak król Jerzy VI., nie lubi życia dworskiego.

Najmodniejszym kolorem koronacyjnym jest błękit, ulubiony kolor królowej Elżbiety za czasów, gdy była jeszcze Księżną Yorku. Stroje balowe, na przyjęcia dworskie i wielkie wydarzenia sportowe będą w nadchodzącym sezonie koloru królewskiego błękitu, w Opactwie zaś Westminsterskim w czasie koronacji małżonki lordów i dygnitarzy nosić będą śnieżno białe rękawiczki. Nowy typ koronacyjnych rękawiczek kosztuje przeciętnie 30 złotych za parę, przy czym popyt na nie jest w magazynach londyńskich większy niż podaż. Arbitrzy mody koronacyjnej organizują wspaniałe wystawy na Bond Street i znajdują klientelę zamorską, przybywającą na uroczystości koronacyjne do stolicy.

W wigilię koronacji wydany będzie w apartamentach od wieków skojarzonego z dyplomacją Pałacu św. Jakuba wielki bankiet, z udziałem ambasadorów i dyplomatów kilkudziesięciu państw. Gospodarzem na bankiecie, pierwszym od lat 26-ciu t. j. ostatniej koronacji, będzie brat króla Jerzego VI., książę Gloucester. Dania przygotowane będą w kuchni na pierwszym piętrze, w pobliżu sali bankietowej. Kuchnia ta jest poniekąd historyczną, była bowiem widownią przygotowań do przyjęć państwowych na przestrzeni dwu wieków.

W tydzień po koronacji Jerzego VI, odbędzie się wielka rewia koronacyjna w Spithead, w której wezmą udział okręty wojenne 17 narodów. Flotę polską reprezentować będzie „Burza", z Francji przypłynie pancernik „Dunkerque", z Trzeciej Rzeszy „Graf von Spee", z Rumunii „Regina Maria", z Estonii łódź podwodna „Kalev", zaś z Dalekiego Wschodu krążowniki i kontrtorpedowce.

Rady praktyczne

Pranie nicianych koronek. Do prania koronek najlepiej użyć butelki, którą obszywa się gładko płótnem lub flanelą i na tej podkładce nawija się koronki zwojami, leżącemi jedne na drugich, przymocowuje się je kilkoma ściegami, a z wierzchu okrywa się grubym muślinem. Tak obwiniętą butelkę kładzie się na jakiś czas do naczynia z letnią, miękką wodą, a potem pierze się koronki, to jest naciera się, pokrywającą je tkaninę mydłem i flanelową szmatką. W celu wypłókania koronek wkłada się butelkę na kilka godzin do czystej wody. Po wyjęciu z wody należy butelkę tarzać pomiędzy dwoma czystymi ręcznikami, zanurzyć je w wodzie ryżowej albo w rzadkim roztworze krochmalu i tarzać znowu. Nakoniec odwinąć wilgotne jeszcze koronki z butelki i wygładzić je pomiędzy dwoma cienkimi ręcznikami.

Pranie jedwabnych koronek. Jedwabne koronki nawija się na deseczkę i przymocowuje kilku ściegami, aby się nie osunęły i tak układa się na noc do ciepłego mleka, do którego należy dodać nieco mydła, potem wypłókać koronki w zimnej wodzie, następnie włożyć do ciepłej wody mydlanej i znowu wypłókać bez żadnego tarcia. Jeżeli zachodzi potrzeba wybielenia ich, wtedy, dopóki są jeszcze wilgotne, wystawia się je na działanie promieni słonecznych.

Czarne, jedwabne koronki pierze się w benzynie i po wysuszeniu skrapia się odwarem mięty kędzierzawej i prasuje na mokro po lewej stronie, na podłożonym, miękkim suknie, najpierw przez cienki perkal lub muślin, a następnie zupełnie gołym żelazkiem, wyciskając mocno deseń na prawą stronę.

Pranie krepy. Najpierw należy zagotować w miękkiej wodzie drobno pokrajane mydło francuskie i w tym roztworze moczy się przez noc krepę zwiniętą w rulon. Nazajutrz wyciska się ją bez jakiegokolwiek tarcia i wkłada znowu do letniej wody z odrobiną roztworu mydła, znowu wyciska się i tę czynność powtarza dopóty, dopóki krepa nie będzie zupełnie czystą. W celu nadania krepie sztywności bierze się karuk rybi (ichtyocolla), wkłada się poprzedniego wieczora do mocnej wódki w której się rozpuszcza, nazajutrz dolewa się gorącej wody i gotuje jak krochmal i w tej mieszaninie macza się krepę, po czym zawiesza się ją do wysuszenia. Prasuje się na wilgotno przez płótno.

Pranie gazy. Chcąc wyprać białą gazę, należy ją włożyć pomiędzy dwa arkusze czystego białego papieru przesypując go uskrobanym, weneckim mydłem i umieścić w porcelanowej miednicy, do której nalewa się letniej wody i na wierzch nakłada się złożoną w kilkoro płachtę i obciąża ciężarkiem. Skoro woda ostygnie, trzeba ją odlać, a na jej miejsce nalać znowu letniej. Przyciśniętą ciężarkiem gazę pozostawić przez całą noc od czasu do czasu wyciskając. Dalszy sposób prania jest taki sam jak krepy.

WITOLD MATACZYŃSKI (Łysinin).

Ostatnie pożegnanie

(Nowela).

W cichy, tchnący zapachem bzu wieczór majowy, drogą do Brzozowa, postępował zwolna Kazimierz Tański. Szedł smutny i zadumany, a w duszy jego toczyła się cicha walka uczuć.

Szedł właśnie do Lechowa, do swej Hanusi, aby się pożegnać, gdyż jutro wyjeżdża na posadę do Kraszewic w Wileńskiem, jako urzędnik gospodarczy.

Na myśl że jutro wyjeżdża daleko od rodziny i od... Hanusi, ogarnęło go jakąś dziwna, nieokreślona tęsknota za czemś mu drogiem, bliskim, zresztą sam nie umiał sobie tego wytłumaczyć i idąc w tej ciszy wieczoru, pobiegł myślą ku Hani. Księżyc rzucał blade światło przez gałęzie rosochatych wierzb tworząc koszmarne cienie na wąskiej drodze. żaby kumkały w stawie, komary rojem brzęczały nad uszami, a Kazimierz szedł coraz wolniej, jakby oddalić chciał chwilę pożegnania.

Na raz, pod wpływem tych myśli, cicha piosenka, którą tak często śpiewał Hanusi, popłynęła z jego ust:

Hejże, dyna, dyna,
Przy drodze leszczyna,
Nie bywałbym ja tu,
Żeby nie dziewczyna.

Nie bywałbym ja tu,
Nie podpierał ściany,
Żeby nie Hanusia —
Mój Boże kochany.

Kiedy skończył, zamajaczył przed nim cień ogrodu, nie doszedł jeszcze zupełnie, gdy przed nim stanęła Hanusia.

— Hanuś — rzekł, a ona podała mu obie dłonie i w milczeniu stali przez chwilę.

— Spodziewałam się, że przyjdziesz — rzekła — i wybiegłam naprzeciw.

— Chodźmy do ogrodu — rzekł Kazimierz i wziąwszy ją pod ramię, poszli. Za chwilę, siedzieli w altanie otulonej białemi bzami, zasłuchani w biciu własnych serc, szczęśliwi bez miary.

Nagle Kazimierz wzruszonym głosem, ściskając dłonie Hanusi, zapytał:

— Hanuś! Kochasz ty mnie tak jak dawniej?

Zdziwiona, a zarazem zaniepokojona jego pytaniem odpowiedziała:

— Dlaczego o to pytasz, dlaczego ranisz moje serce, czy nie wierzysz w mą miłość bez granic?

— Bo widzisz... Hanuś... ja dziś muszę z tobą się pożegnać, nie wiadomo na jak długo, i w duszy mi tak coś szepce, że to już... ostatnie... pożegnanie, ja wyjadę daleko, a ty o mnie... zapomnisz, myśl ta nie daje mi spokoju, i dlatego pytam... czy mnie kochasz i czy o mnie nie... zapomnisz?

W odpowiedzi ciche łkanie przerwało tę uroczystą chwilę.

Kazimierz jął pocieszać swą kochaną Hanusię, lecz ona długo nie mogła się w płaczu utulić. wreszcie cichą skargę wyszeptały jej usta:

— ...Zostawiasz mię i idzież w świat, a ja pozostanę w tęsknocie i smutku.

Ta skarga, tak cicha, a tak z serca pełnego miłości płynąca, podziałała na niego jak balsam. Z sercem pełnem szczęścia i miłości przycisnął dłonie do ust, ukląkł i tonem, w którym jakoby przebijała rota przysięgi, rzekł:

— Hanuś droga! W twe dłonie składam moje szczęście i całą moją przyszłość.

A Hanuś uczyniła nad jego głową znak krzyża świętego.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece — rzekła — i niech ci ta myśl, że ja tęsknić będę za tobą, dodaje sił, kiedy będziesz daleko.

Późno w noc, wracał Kazimierz do Brzozowa, mając przed oczyma ostatnie pożegnanie z Hanusią.

Minął rok. Kazimierz Tański przebywa w Kraszewicach. Jego zajęcie jest tak obszerne i różnorodne, że nie powinien się nudzić. A jednak, życie płynęło mu tak powoli, każda chwila stawała się wiekiem. Oto dziś właśnie rocznica jak tu przybył, dziś właśnie minął rok, jak się pożegnał z Hanusią i od tego czasu nie miał od niej żadnej wiadomości. Dzień ten żywo stanął mu w pamięci, a tęsknota i niepewność, co się dzieje z Hanką, ogarnęły go takim smutkiem i rozgoryczeniem, że... dwie duże łzy spłynęły mu po policzkach. Może dziś, może jutro otrzyma choć kilka słów zapewnienia, że mnie kocha, tym tylko się krzepił i łudził nadzieją. Biedny, nie wiedział jak gorzką los mu gotował niespodziankę.

Nagle wyrwał go z zadumy śpiew pracujących dziewcząt. Przystanął i słuchał, łowiąc słowa tęsknej piosenki:

„Nie wrócisz, nie wrócisz, kochanie ty moje,
Twe serce odwyknie i pamięć zapomni".

Na nowo tęsknota wstąpiła do jego serca, ruszył naprzód, miarowy chód konia ukołysał go i dał mu znów chwilę zapomnienia.

Objechał dziś wszystkie pola, ludzie dawno już poszli na obiad, a on długo jeszcze jeździł na swym siwku i puścił wodze swym tęsknym myślom. Wreszcie ocknął się z zamyślenia i ruszył kłusem do domu. Ludzie dawno już pracowali po południowym odpoczynku, kiedy Kazimierz wjechał w podwórze.

Gosposia od kilku godzin czekała, z obiadem, szukając powodu spóźnienia. Nie zważał na to i udał się do swego pokoju, zapominając o obiedzie. Usiadł przy biurku i zaczął pisać list do... Hanusi. Zaledwie napisał datę i nagłówek, wszedł listonosz i wręczył Kazimierzowi list. Drżącemi rękoma otworzył kopertę i poczęwszy czytać. Nagle zbladł, zachwiał się i opadł ciężko na fotel. List był od Hanusi, w kopercie była mała kartka, a na niej słowa tragicznej rzeczywistości.

„Będąc posłuszną woli rodziców, wychodzę za mąż za człowieka, który potrafił mnie przekonać, że będę u jego boku szczęśliwą, a ponadto zdobył sobie szacunek mych rodziców oraz moją przyjaźń. Ponieważ jest bardzo bogatym, zapewnię sobie wygodną przyszłość, której Ty, nigdy nie mógłbyś mi dać, będąc urzędnikiem gospodarczym. Wobec tego uważam za rzecz zupełnie naturalną nie gardzić szczęściem, które osiągnę, poślubiając Teodora Miskiego. Proszę mi wybaczyć, lecz muszę zerwać wszelką przyjaźń, jaka nas kiedykolwiek łączyła.

Anna."

Długo nie mógł się opanować, wreszcie uspokoił się. Siedział teraz jak posąg nieruchomy, z pobladłą twarzą, z ustami wykrzywionymi w ironicznym uśmiechu z sygmatem boleści na twarzy.

Nagle wzrok jego zatrzymał się znowu na stoliku na którym błyszczała czarna lufa rewolweru i jakieś silne postanowienie wkradło się do jego duszy, potem spostrzegł zaczęty list i wziąwszy pióro, pod skreślonym już nagłówkiem „Kochana Hanuś" napisał:

„Otrzymawszy Twój pełen okrucieństwa list, przesyłam Ci moje ostatnie pożegnanie i zapewniam, że byłem Ci wiernym do śmierci. Niech Ci Bóg przebaczy, bo ja Ci przebaczyłem.

Żegnam Cię

kochający Kazimierz".

Włożył list w kopertę, zaadresował starannie, po czym z całym spokojem sięgnął po morderczą broń.

— Masz rację, Hanusiu, dlatego miałbyś odrzucać własne szczęście dla szczęścia innych, to jest rzeczą naturalną budować gmach szczęścia na ruinach obcego szczęścia... — szepnął jeszcze i pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał. Na podłogę osunął się drgający w ostatnich konwulsjach trup Kazimierza Tańskiego.

Telegraficzna wiadomość o tragicznej śmierci Kazimierza szybko obiegła Brzozowo i Lechów. Hanusia, kiedy się dowiedziała o śmierci Kazimierza, któremu wczoraj taki okrutny list wysłała, poznała swoją winę, której już nigdy naprawić nie mogła.

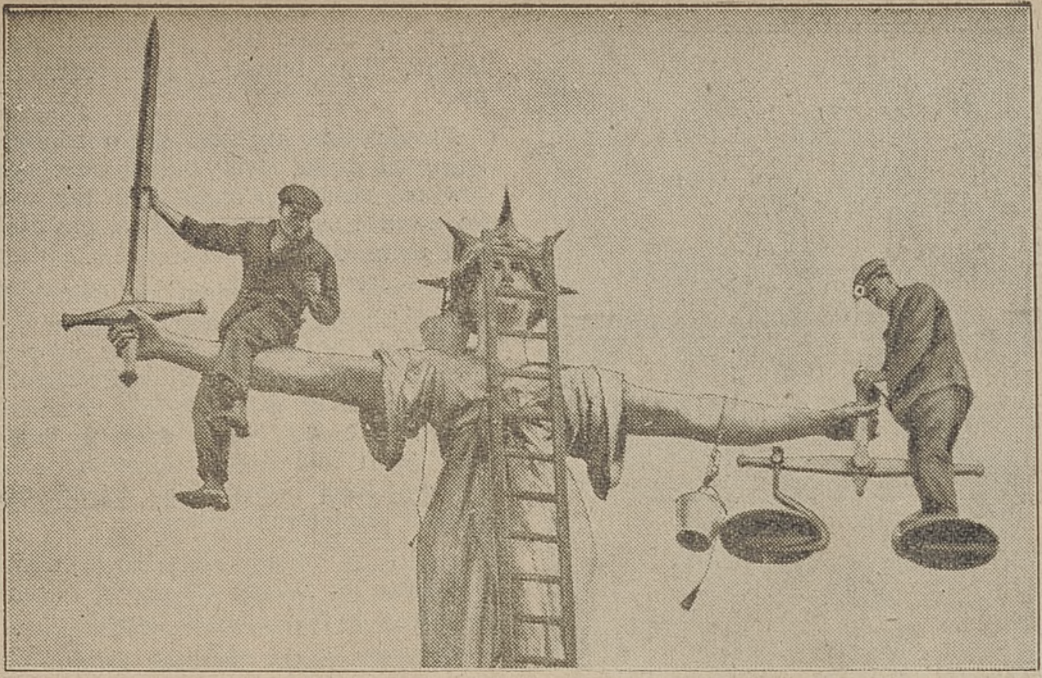
A kiedy następnego dnia otrzymała list od Kazimierza, napisany chwilę przed śmiercią, ból jej nie miał granic, w spazmatycznym płaczu błagała o przebaczenie, które już otrzymała.

W tej chwili zbyt jasno odczuła, jak bardzo jednak kochała Kazimierza i jak bardzo względem niego zawiniła. Zerwawszy zaręczyny, modliła się z płaczem za duszę Kazimierza, którego tak bezlitośnie popchnęła w objęcia śmierci.

Stroskani rodzice sprowadzili zwłoki swego jedynego syna do rodzinnej wioski. W pogrzebie wzięły udział niezliczone tłumy krewnych i znajomych, a wśród nich zalana łzami Hanusia. Kiedy już wszyscy opuścili cmentarz, ona wciąż jeszcze modliła się na grobie Kazimierza, którego tak bardzo kochała. Zmrok już otoczył ziemię, a Hanusia żebrząc przebaczenia, płakała jeszcze na cmentarzu.

Na drugi dzień znaleziono na mogile Kazimierza Tańskiego zwłoki młodej dziewczyny. Przybyły lekarz stwierdził śmierć wskutek udaru serca. Hanusia poszła za swym ukochanym Kazimierzem, aby już nigdy się z nim nie rozłączyć.

Koniec.



Z okazji zbliżającego się terminu koronacji odnawiają robotnicy w Londynie statuę bogini sprawiedliwości.

tuś nazywa się monsieur Oliwier, zaprowadź mnie do niego!

Monsieur Oliwier figurował na afiszu cyrkowym jako pierwszy jeździec. Rzeczywiście, dziewczynka potwierdziła, że ojcie jej jest w cyrku.

— Całe miasto przychodzi patrzeć na mego ojca — mówiła.

Nie wiedziała jednak, gdzie cyrk się znajduje i Leon musiał się o niego dopytywać przechodniów.

Przychodziło mu to trudno, gdyż nie rozumiał po włosku. Po długim czasie dopiero, gdy kilkunastu przechodniów bezskutecznie zagadywał, dowiedział się od któregoś, jak ma iść, by zajść do cyrku i udał się we wskazanym kierunku.

Dziecko po drodze paplało bezustannie.

Opowiedziała mu, że się nazywa Nina, ma bardzo dobrego i pięknego ojca, że matki nie ma, tylko dozorczynię Barbarę, od której uciekła; ale że tutaj między obcymi ludźmi nie wiedziała co robić, dlatego powraca i nigdy już nie będzie uciekać.

Skończywszy opowiadanie dziejów swojego życia, dziewczynka zaczęła Leona obsypywać pytaniami: jak się nazywa, dlaczego ubranie jego i trzewiki takie podarte, dlaczego on taki smutny, że pewnie jest głodny, że i ona jest głodna, ale z nim się podzieli tym, co dostanie.

— Tu my mieszkamy — zawołała nagle, wskazując na hotel wcale elegancki.

Leon chciał dziecko oddać portierowi, ale za nim jeszcze wykonał ten zamiar, podbiegł do nich jakiś pan, elegancko ubrany i zaczął dziewczynkę ściskać i całować.

Leon skromnie szedł dalej, ale dziewczynka wołała za nim i prosiła ojca, żeby go zatrzymał, bo ona mu przyrzekła, że mu da jeść, bo on głodny.

Ojciec pobiegł za nim i zrazu po włosku, potem błędnie i źle po niemiecku, przemówił do niego, że go chce wynagrodzić, przy czym mówił do niego przez „ty".

Zaczął szukać po kieszeniach, jak gdyby chciał wyciągnąć jakąś monetę.

Leon zarumienił się.

— Wynagrodzenia nie przyjmę za spełnienie prostego obowiązku — rzekł dumnie.

Ta odpowiedź, oraz ton jakim mówił i wystąpienie Leona zafrasowało Oliwiera.

Zaczął przypuszczać, że ma przed sobą nie jakiegoś urwisa, lecz kogoś lepszego i w tym mniemaniu utwierdziło go opowiadanie córki, która prosiła, żeby z Leonem rozmawiał po francusku, gdyż on tą mową włada.

— Wybaczy pan — rzekł — żem się tak z panem obszedł, ale pan wie, że my zawsze sądzimy z pozorów. Zrobił mi pan przysługę, chciałbym więc się za nią odwdzięczyć. Niech więc pan powie, czem mógłbym panu się przysłużyć?

Leon nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Może pan — ponieważ widzę, że pan w przykrych stosunkach się znajduje — mówił Oliwier — może pan pozwoli, że panu pożyczę trochę pieniędzy, które mi pan zwróci, gdy będzie pan mógł.

To taktowne odezwanie mile usposobiło Leona.

— Dziękuję panu — rzekł — z pożyczki nie będę mógł korzystać, gdyż nie wiem, kiedybym mógł oddać. Natomiast byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby mi pan dopomógł w wyszukaniu jakiegoś zajęcia i zarobku. Nie cofnę się przed żadną, nawet najcięższą pracą, — dodał w końcu.

— Wątpię, czy będę mógł panu dopomódz — martwił się Oliwier — wprawdzie są w naszym cyrku miejsca wolne — ale to takie liche. Jedno naprzykład gimnastyka, który jednak występować musi w kostiumie błazna, a gdy jest niezajęty, w skromnej liberii koło koni.

— Świetnie — zawołał Leon — i to mnie nie odstrasza, ponieważ gimnastykować umiem bardzo dobrze.

— A więc doskonale — rzekł Oliwier z radością — przemówię gorąco za panem u dyrektora cyrku. — Chodźmy zaraz do niego. Ale — przerwał — w tym stroju nie może mu się pan pokazać. Teraz, kiedy pan ma już dochody zapewnione, może pan przyjąć od mnie pożyczkę, na sprawienie nowego ubrania.

Zbliżyła się do nich służąca, wołając z egzaltacją ludowym francuskim językiem:

— Mamże cię nareszcie, moje złote dziecko. Przez trzy godziny umierałam ze strachu, że ciebie nie było. Ty, niedobry aniołku, jakżeś tak mogła zmartwić starą Barbarę.

— No, ale już jestem znowu — rozumowała dziewczynka. — Chodź i daj mi natychmiast jeść, bo jestem głodna.

— Do widzenia, Nino — rzekł do niej ojciec — ja idę z tym panem.

— Ale pan Leon wróci — upominała się dziewczynka.

— Tak jest, zostanie nawet u nas — uspakajał ją ojciec.

— Aj, to ślicznie — cieszyła się Nina i rzekła na pożegnanie:

— Do widzenia, Leonie.

— No, a teraz — zwrócił się Oliwier do Leona — idziemy do składu ubrań.

— Nie mogę przyjąć tej uprzejmości pańskiej — odparł Leon. Ubranie moje ma taki opłakany wygląd, że nie można się ze mną pokazać...

— Co pan sądzi o mnie? — odpowiedział Oliwier. — Nie jestem przecież głupi. I moja toaleta nie zawsze tak wyglądała jak dziś.

W składzie ubrań, w którym Oliwiera doskonale znano, patrzano na Leona z podełba.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KWADRAT MAGICZNY

pod. „Eros".

	a		u		e	
a		a		i		r
	a		e		n	
u		e		w		w
	i		w		n	
e		n		n		t
	r		w		t	

1) Im. pomoc.
2) —
3) nazwa knajpy portowej.
4. —
5. Dojście do doskonałości według wierzeń hinduskich.
6. —
7) Cześć garderoby męskiej. (1. mn.)

SZARADA

uł. W. M.

Druga pierwsza wstecz — atak w przeciwnika,
Choć pierwsza i drugiej pół — też jeden kat.
Trzeci zaś, sąsiedzie — twój kum kochany,
Co ci dobrze życzy, aż do starych lat.
A druga zwrotka jest już mniej wesoła,
Bo walka *o czwartą i pierwszą drugiej.*
Całość z zamierzchłych czasów do nas woła,
Gdzie prochy chrześcian dawnych śpią lata długie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 14 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 17 „Moich Powieści": Logogryf: Jędrzejowska. Bilet wizytowy: „Nieznany Poeta" — M. Grzegorski — Sosnowiec.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jadwiga Zielińska — Włocławek, „Czarnulka ze Świecia", Bronisław Chojnacki — Gąsawa, Ludwika Pukowiczówna — Poznań, Julian Sommer — Grudziądz, Walerian Antoszewski — Ostrów Łomżyński — Felicja Kantakówna — Lublin, R. Huligówna — Andrychów, Wanda Bojańczykowa — Włocławek.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: R. Huligównie z Andrychowa i Julianowi Sommerowi z Grudziądza.

8)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

— Lękasz się prawdy, która w oczy cię kole.

— Bądź zdrów, monsieur — odrzekła na to madame Hedwige i szybko się oddaliła.

I znowu rozeszli się jak wrogowie.

XIII.

KRWAWA ELEKCJA

Osiadł pan Jan znowu w swojej Opsie, dziś już na imię żony przepisanej, a choć otoczył się przyjaciółmi i druhami wiernymi, nie zaznał przecież spokoju. Obligowany nieustannie przez braci, słał pismo za pismem, piętnując żonę, domagając się rozwodu, a gdy pisma odeszły, wspierał skołataną głowę na dłoni i płakał długie, nierycerskie godziny...

I tak było zawsze, przez wiele, wiele dni.

Komnatkę różową, atłasami obitą, zamknął na klucz i nikomu nie pozwalał tam wchodzić. Sam tylko zaglądał tam czasem, oglądał drobiazgi, porozrzucane w nieładzie, a pozostawione przez żonę i żył wspomnieniami przeszłości, które błąkały się tutaj jak dawno umarłe echa zgasłego szczęścia.

Często zasiadał na miękko wyściełanym karle i wsparłszy głowę na ręku, dumał długo, tęskniąc i marząc. Wtedy postać uroczej Gigi zdawała się wpływać powietrzem przez zamknięte na głucho okna i wypełniała całą komnatę szelestem jedwabiów swej sukni, miękkimi krokami po bezcennych kobiercach wschodnich, srebrzystym śmiechem — i starosta żył tą złudą przez całe długie dnie samotności, codziennie o jednakowej godzinie rozpamiętywując minione szczęście, które miało nigdy nie wrócić.

Przyjaciele wierni, druhowie serdeczni, pojąć nie mogli tego dziwnego jego stanu, to też nader często próbowali oderwać go od przeszłości i wtłoczyć w koleinę dnia dzisiejszego.

— Porzuć mnisze rozpamiętywania, mości starosto — mawiali — pójdź do nas, gdzie wino się leje i kielichy dźwięczą. Zaliż godzi się rozpaczać po niewieście niewiernej?

A on uśmiechał się do nich smętnie, dawał się pociągać do kompanii, a zarazem czuł, jak łatwo przyszłoby mu cofnąć wszystkie pisma i przycisnąć do swego wiernego serca i tamto serce niewierne.

Tak zastał go w Opsie rok 1756 i elekcja posłów na sejm w całym kraju.

Pierwsze jaskółki wyborcze, potem wezwanie księcia Panie Kochanku, ożywiły nieco pana starostę opeskiego. Zaczął się krzątać dokoła spraw publicznych, zapomniał chwilowo o bólu serdecznym i o niewiernej małżonce, ale smutku pozbyć się nie mógł.

Gdy przyszedł sejmik w Brasławiu, zjechał tam Ciechanowiecki na czele



Indyjska tancerka Menaka w swojej najpiękniejszej pozie tanecznej.

druhów wiernych i 500 własnych żołnierzy. Chodził teraz po tym mieście, pełnym dla niego wspomnień słodkich, chmurny jak noc listopadowa i agitował jak mógł, a tym gorliwiej robił to teraz, że miał się tu zetrzeć na terenie politycznym z teściem agitującym na swoją stronę.

Graf Strutyński zajął dworek przy cmentarzu, zaopatrzywszy go w ostrokoły i umocniwszy jak warownię przed atakiem nieprzyjaciela. A dokoła siebie zgromadził rębajłów wypróbowanych, między którymi znajdował się również i pierwszy amant jego córki, pan Stanisław Rudomina Dusiatycki.

Naprzeciw zamieszkał zięć, pan starosta opeski, Jan Ciechanowiecki, dyszący zemstą przeciwko przebiegłemu teściowi.

Elekcja zapowiadała się gorąca, bo do przeciwieństw politycznych dochodziły tu jeszcze nienawiści osobiste dwóch głównych agitatorów zwalczających się frakcyj. A nienawiści takie w owym czasie często wyrastały nad głowę programów i celów frakcyjnych, wyrywały się z nakreślonych im ram i ponosiły jak dziki i nieokiełznany rumak.

Tak miało być i teraz.

Zanim elekcja się zaczęła, już krew lała się w Brasławiu na lewo i prawo.

Zaczęło się od tego, że do wracającego wieczorem do swego dworku generała Ciechanowieckiego, strzelił ktoś ukradkiem od strony dworku przy cmentarzu. Kula chybiła. Generał ukrył się za węgłem domu i dobywszy pistoletu, oddał parę strzałów do niewidzialnych przeciwników.

Strzały te, rozlegające się w bezpośrednim sąsiedztwie kwatery Ciechanowieckich, posłyszano w dworku i wnet hurma ludzi pana starosty opeskiego wyległa na ulicę i zasypała gradem kul dworek grafa Strutyńskiego. Napastowani nie zostali dłużni odpowiedzi i wnet wywiązała się gwałtowna strzelanina, która trwała prawie przez całą noc.

Parokrotnie kuszono się o zdobycie warowni grafa Strutyńskiego, ale gwałtowność rotowego ognia była tak wielka, że nikt żywy nie mógł się podsunąć pod ostrokoły.

Już nad ranem udało się jednak ludziom Ciechanowieckiego podpalić jedną z szop, w których mieściły się wozy, karabony, skarbniczki i najprzeróżniejsze dryndulki szlacheckie. Płomienie prawie w jednej chwili ogarnęły budynek słomą, oblewając wszystko dokoła krwawą łuną i wzniecając wśród obleganych popłoch niebywały.

Gdzieś w oddali uderzono w dzwon kościelny na alarm, a wraz też ozwały się głosy ludzkie: „gore! gore!“

Ciechanowiecki nakazał swoim ludziom odwrót, nie chcąc, by w świetle jarzącej się łuny pożaru widziano tu kogokolwiek z jego popleczników.

A gdy pożar przygasł zupełnie i nastał dzień, przechodnie ze zdziwieniem zobaczyli na bramie dworku przy cmentarzu wiszącego dworzanina Strutyńskich.

Na parę dni po tym wypadku nastał względny spokój. Lecz po tym krótkim zawieszeniu broni znowu kule gwizdać poczęły zza węgłów domów, znów w różnych winiarniach i miodosytniach dźwięczały szable i trup padał gęsto. Zapomnieli bracia szlachta o głównym celu swojego teraźniejszego zjazdu w Brasławiu, zapomnieli iż kraj czeka na posłów, którzyby uchwalili pilne ustawy, jakich wymagało od nich życie, zapomnieli o wszystkim. Furda kraj, furda interes publiczny, gdy w grę wchodziły prywatne interesy dwóch możnych rodów, które za cel główny postawiły sobie pomstę i zniszczenie jeden drugiego.

— Gdyby frakcja radziwiłłowska na tej elekcji górę wziąć miała — grzmiał w swoim gronie graf Strutyński, dłonią po szabli uderzając — raczej sejmik zerwę, a do elekcji nie dopuszczę.

— Gdyby Familia miała z elekcji wyjść zwycięsko — odpowiadał pan starosta w swoim kółku — raczej całą elekcję na szablach rozniesiem.

A bezmyślna hassa szlachecka, która zwaliła na sejmik do Brasławia strzemienne i koleśno, z wozami i tobołami pełnymi jadła i napitku, podchwytywała oświadczenia wodzów i włócząc się pół pijana po mieście, wszczynała kłótnie i bójki lub zgoła najformalniejsze toczyła boje, połączone ze zdobywaniem domów przeciwników, niby warowni, krążąc na głowach dorażnie tych, którzy mieli odwagę przyznać się do opozycji i nie chcieli życzyć zwycięstwa jednej lub drugiej stronie.

W końcu doszło do tego, że wytworzył się w Brasławiu na owym sejmiku powiatowym stan chronicznej wojny wszystkich przeciw wszystkim.

Sejmik zerwano.

Kraj może poczekać.

Trupy nienawiści

Po zerwaniu sejmiku obie frakcje zaczęły ucztować, niby po odniesionym wielkim zwycięstwie. W dworku Ciechanowieckich wydano ucztę wspaniałą dla stronników frakcji radziwiłłowskiej, na której pito, odgrażano się i obiecywano w puch roznieść wrogów. Zeszli się tu najpierwsi głowacze frakcyjni. Więc Ciechanowieckich czterech, bo przybył i Ksawery, który co tylko z Paryża powrócił, gdzie nabierał poloru i ogłady towarzyskiej, a chociaż w krajowych sprawach publicznych nie wiele miał do powiedzenia, gdyż obce mu były wydarzenia i wypadki ostatniego czasu, przecież wziął udział w uczcie; jest tu młody Wilczek, Wołodkiewiczów dwóch, ojciec pułkownik i syn Wincenty, jest Wasylkowski stary i dwóch Glińskich, którzy ród swój od kniaziów wywodzą; jest stary Cwilichowski, statysta i jurysta frakcyjny — słowem — cała okolica.

Dźwięczą kielichy, leją się strugami miody i wina, i hałas wzmaga się, jak w ulu. Przesławni zalewajkowie popisują się siłą swych głów, pijąc garncami miód tak mocny, że dość dziesiątej części garnca, aby słabszego z nóg zwalić.

Piękny Ksawerek, przyglądając się temu wszystkiemu, dziwuje się niepomiernie mocy szlacheckich głów, a następnie pochyla się do młodego Wilczka i mówi:

— Dalibóg, gdybym na oczy własne nie widział tego wszystkiego, nie uwierzyłbym. Dziw to prawdziwy jak mocne głowy miewa szlachta nasza.

— Inny Angielczyk, albo li Francuz — odrzekł na to Wilczek — po dziesiątej części garnca cienkusza z nóg się wali, a nasz brat szlachcic garniec jeden i drugi najprzedniejszego miodu wysączy i nic mu.

— Póki takie mocne głowy mamy w Rzeczypospolitej — zauważył Wołodkiewicz młodszy — nie zginiemy i nie zginie Rzeczpospolita.

A na miejscach zajmowanych przez głowy frakcji, zgrupowali się co przedniejsi dokoła starosty opeskiego, którego tu wszyscy od czasu za wodza mieli, radząc de publicis.

— Zwycięstwo mamy pewne — mówił pułkownik Wołodkiewicz — frakcja wołczyńska w rozbiciu. Sejm przyszły, który się odbędzie w Warszawie, pod naszym sztandarem będzie prowadzony.

— Ale przez to walka się nie zakończy — zauważył kniaź Gliński starszy — boć wiadomo waćpanom, iż graf Strutyński nigdy dotąd nie był tak zawziętym jak teraz. Toż bywało dawniej, iż nieraz w sam środek naszych popleczników wlazł, tego i owego ze szlachty po łopatce poklepał, panem bratem nazwał, przypił, a gdy przyszły sprawy publiczne, stawaliśmy naprzeciw siebie, ale rzadko z nabitą bronią. A dziś? Zmieniło się to jakoś wszystko.

— Bo i zmienić się musiało — huknął pułkownik Wołodkiewicz, który miał głos podobny do gromu. — Za wiele krzywd wyrządził naszym braciom ten Antychryst, aby mogła być mowa o przebaczeniu. I choćby sam JW starosta opeski przebaczył — ja pierwszy nie przebaczę, dokąd żył będę, jakem Wołodkiewicz. Ot co! nie przebaczę i basta!

— Jużcić to prawda — zgodził się Wasylkowski. — Ale raczcie waszmościowie spojrzeć i na tę drugą stronę medalionu, która jest chwilowo zakryta. Bo o ile moi informatorowie nie łgali i nie koloryzowali, a mniemam, iż nie mieli żadnej przyczyny po temu — est modus in rebus...

— Waszmość wiesz co? — odezwał się raptownie Ciechanowiecki Jan.

— Owszem, proszę ja waszmości i właśnie chcę rzecz całą wyłożyć.

— Słuchamy! Słuchamy!

— Rzecz cała tako się mieć ma: sam graf Strutyński nie byłby wszczynał owej wojny z JW panami Ciechanowieckimi, która doprawdy na dobre jeszcze się nie zaczęła, gdyby nie miał pokusicielki, która nieustannie judzi go i do wojny podsyca.

— Zaliżby żona?

— Żona swoim porządkiem, ale ważniejszą w tej grze odgrywa jego córka, madame Hedwige, nieszczęsna pana starosty opeskiego małżonka.

Tu pan Wasylkowski skłonił się w stronę Ciechanowieckiego i urwał na chwilę opowiadanie.

— Ta gadzina do każdej nieprawości jest zdolna — syknął generał.

Jan spojrzał na niego, jakby z wyrzutem, bo chociaż on sam w pismach rozwodowych nie oszczędzał bynajmniej żony i piętnował ją przy pomocy wszystkich barw ciemnych, ale gdy teraz usłyszał głośno wypowiedzianą obelgę, doznał jakby bolesnego ukłucia w serce. Albowiem pomimo wszystko, na dnie jego serca, chociaż przytłumione nieco innymi wypadkami, gorzała wciąż jednakowo i niezmiennie gorąca miłość do tej pięknej niewiernej.

— Opowiadał mi sąsiad Borejko — podjął znowu pan Wasylkowski — stronnik Fimilli, iż ona to nieustannie kładzie grafowi do uszu, że dokąd panowie białoruscy zniszczeni nie zostaną, nie może być pokoju na Litwie, że zniszczywszy ich, graf zasługę mieć będzie wobec króla i kraju, sławę niezmierną pisze. Dziw to prawdziwy, mości panowie, ile w tej białogłowie gniewu i nienawiści.

— Dziw nie dziw, boć wiadomo, że najpiękniejsze kwiaty bywają najbardziej trujące — odezwał się znowu generał. — W pięknym ciele zwykle nikczemny duch obiera sobie siedlisko.

Starosta milczał, a Ksawerek, który pilnie przysłuchiwał się opowiadaniu pana Wasylkowskiego i śledził uważnie brata Jana, spostrzegł, iż opowiadanie to zrobiło na nim wrażenie wprost przygnębiające. Był on bowiem w tej chwili śmiertelnie blady i usta mocno zaciskał, jakby z bólu.

Od owego dnia, w którym tak kapitalną, choć bezwiedną przysługę oddał bratowej — upłynęło już wiele czasu, w ciągu którego Ksawerek wielu ciekawych rzeczy się nauczył. I nieraz żałował później swojego postępku, ale cóż — nie mógł zmusić czasu, ni zaszłych wypadków, by się wróciły do swoich okresów pierwotnych.

Lecz teraz, zgoła nagle, zrodziła się w jego umyśle myśl, aby pójść i zobaczyć ową Wenus uciańską, przypomnieć jej się, porozmawiać, a głównie — tylko zobaczyć. Od czasu powrotu z zagranicy do kraju, tak wiele nasłuchał się o wyjątkowej, wprost fenomenalnej piękności bratowej, iż zapragnął własnymi oczyma spojrzeć na to dziwo.

Pod pozorem więc, że tu, niby zbyt gorąco i duszno, pochylił się ku młodemu Wilczkowi i rzekł:

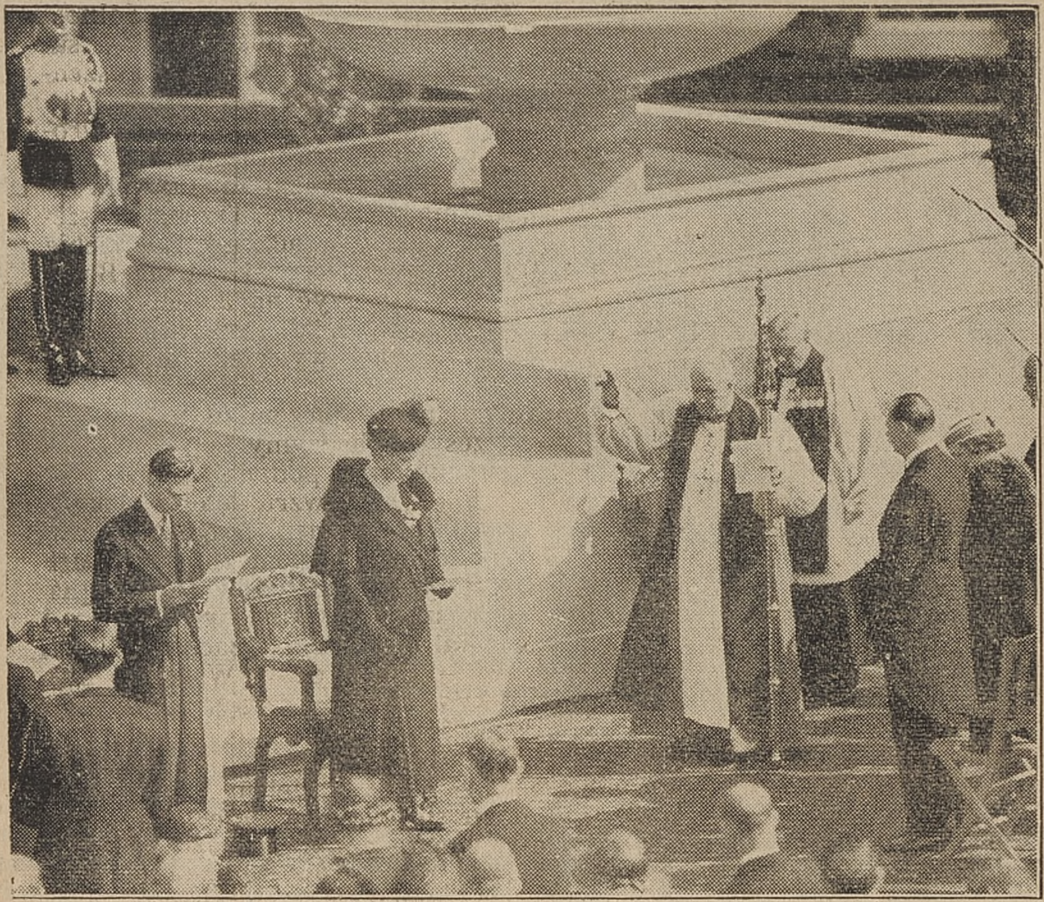
— Nie miałbyś ochoty pojechać łodzią na jezioro? Zbyt tu duszno i głośno.

— Najchętniej.

Obaj młodzi panowie powstali, a wychodząc, zabrali po drodze jednego Glińskiego i młodego Wołodkiewicza.



W Meksyku wydarzyła się ostatnio straszna katastrofa w tamtejszej katedrze. Otóż przy wprowadzaniu nowego arcybiskupa zarwała się podłoga, skutkiem czego około 60 osób wpadło do podziemi. Zdjęcie przedstawia moment z akcji ratunkowej.



Król Jerzy VI dokonał w obecności członków rodziny królewskiej i arcybiskupa z Ganterbury odsłonięcia pomnika na cześć ojca swego Jerzego V-go Zdjęcie nasze przedstawia od lewej: króla Jerzego VI i królowę matkę Mary, podczas przemówienia obok pomnika.

Właśnie dzwoniono na Anioł Pański, gdy znaleźli się na ulicy. Wieczór był cichy, ciepły, sierpniowy. Czuło się już w powietrzu powolne, stopniowe zamieranie życia, bo już i liście więdnąc poczynały, zaścielając rzadko drogi i place.

— Wiecie co, waćpanowie? — odezwał się Ksawerek. — Mam ogromną ochotę zobaczyć ową Wenus uciańską, ósmy cud świata, vulgo moją bratową madame Hedwige.

— Eh, pewnie nie masz jej tu — zauważył Gliński. — Toż sejmik powiatowy nie przystoi białogłowom.

— Ale taki zobaczyć można — podchwycił Wołodkiewicz, który już był nieco podpity. — Okażemy owym familiantom, że ich się nie lękamy.

— Lepiej dajcie pokój — perswadował roztropny Gliński — o przypadek nie trudno, a po śmierci za późno za grzechy żałować.

— Cóż to, barbarzyńcy są, by do bezbronnych, spokojnych obywateli mieli strzelać? — obruszył się Ksawery. — Wszakże i familianci politykę znają i nie będą do nas bez potrzeby strzelać.

— Niechby się odważyli — huknął Wołodkiewicz. — Jeśli ich skóra świerzbi, mogą zacząć, ale czy im to na dobre wyjdzie, za to jabym głowy pod ewangelię nie położył.

Przegłosowany Gliński umilkł i wszyscy czterej poszli ku warowni familiantów.

W blaskach zachodzącego słońca, którego gasnące promienie czerwienią oblewały dworek przy cmentarzu, wyglądał on istotnie na warownię. Obstawiony dokoła ostrokołami, okolony głębokim rowem, imitującym fosę, straże czuwające w różnych punktach — wszystko to wskazywało, iż ma się do czynienia z warownią na małą skalę.

Ksawery z towarzyszami z ciekawością przyglądali się dworkowi, a Wołodkiewicz, zbliżywszy się prawie do samej bramy, pokazywał młodemu Ciechanowieckiemu hak, na którym powieszono dworzanina Strutyńskich.

— Wartoby zakołatać, możeby nas wpuszczono? — zaproponował Ksawery.

— Lepiej dajcie spokój, niech licho śpi — przekładał Gliński, poparty natychmiast przez Wilczka, ale Wołodkiewicz tym gwałtowniej zaoponował.

— Cóż to, tchórz was obleciał? Właśnie, że zakołatam i zażądam rozmowy z samym grafem.

I nie słuchając więcej niczyich rad, ujął szablę poniżej rękojeści i uderzył parękroć w bramę. Chciał jeszcze coś zawołać, ale nagle gruchnął strzał i Wołodkiewicz, puściwszy z ręki szablę, zakręcił się na miejscu i padł na ziemię martwy.

Towarzysze jego w pierwszej chwili uskoczyli za węgieł domu, ale kiedy zobaczyli że Wołodkiewicz padł i nie podnosi się, pierwszy wyskoczył Ksawery, pragnąc pośpieszyć z pomocą przyjacielowi. Grad kul posypał się na niego i młody Ciechanowiecki, jak piorunem rażony, z jękiem zwalił się na pierś Wołodkiewicza.

Straszny krzyk wydarł się z piersi obu pozostałych przy życiu młodych ludzi. Wyrwawszy krucice zza pasów, oddali strzały ku bramie, poczem co sił w nogach pognali do kwatery. Wpadli na salę biesiadną w chwili, gdy starosta opeski wznosił toast na cześć księcia Panie Kochanku, podnosząc larum od proga.

— Gore!.. Bij, kto cnotliwy! — grzmiał Wilczek.

— Wołodkiewicz zabity!.. Ksawery gradem kul przebity!.. — zawtórował Gliński.

— Do broni!... Do broni, kto żyw!

— Kto to uczynił? — rzucił pytanie Jan Ciechanowiecki, blednąc jak trup.

— Strutyńskiego ludzie... Zwłoki leżą przy bramie.

Wtedy zdawało się, że piekło rozwarło swe bramy i na świat ten wypuściło zgraję szatanów, by dokonać zniszczenia. Wszyscy, kto żyw, porwali się z ław i zydlów, chwytając za broń. Na dziedzińcu grano na trąbce larum i żołnierze Ciechanowieckiego, nad którymi objął komendę Wołodkiewicz, biegiem wypadali z bramy. Szlachta z muszkietami i garłaczami, z obnażonymi szablami, wściekła, ogarnięta szałem zemsty, pół pijana, straszna, bez czapek, z pomierzwionymi czuprynami, z których się dymiło, gnała ku dworkowi Strutyńskich.

W jednej chwili otoczono dom dokoła i nie bacząc na gęsto padające strzały, nie ratując dwóch młodzieńców pod bramą, którzy, być może, mogli żyć jeszcze — rozerwano ostrokoły, zasypano rów, wyważono bramę i rzucono się w wir walki. Wściekłość bezgraniczna ogarnęła ludzi Ciechanowieckiego. Rozpoczęła się rzeź krwawa i nieubłagana; nikomu nie dawano pardonu, nikogo nie żywiono, to też trup padał gęsto, nawet za gęsto i krew lała się strumieniami.

Słychać było tylko chrapliwe okrzyki „bij“, „morduj“, „w nich“; czasem padał tu lub tam strzał, a poza tym zgrzyt stali o stal lub o kości ludzkie, dźwięk szabel, sapanie pracujących piersi i jęki rannych i konających.

Padła na samym początku straż Strutyńskich, w pień wycięta, padły szeregi żołnierskie, próbujące stawić opór, padła szlachta, broniąca wejścia do samego dworku.

Fala napastników parła naprzód, a kędy przeszła — zostawiała zwały trupów i rannych. Jak kiedy kosiarz na polu, idąc tnie zboże, zostawiając za sobą pokosy, a przed sobą mając mur żywy i szumiący, tak pracowali ludzie Ciechanowieckiego.

Sam starosta, mając po lewej swej stronie generała, po prawej starostę domaskiego, skoro tylko znalazł się na dziedzińcu — wparł się zaraz w tłum broniących i rozdając ciosy na lewo i prawo, kładł ludzi niby źdźbła i szybko posuwał się ku wejściu do dworku. Zarówno on jak i bracia jego — jednego tylko człowieka pragnęli dopaść dzisiejszej nocy w swe ręce, zgoła nie dbając o innych, a był nim graf Strutyński.

— On tam być musi! — wskazał Jan dworek szablą, z której spływała krew.

Rzucono się ku wejściu, potem w sienie, gdzie znowu wywiązała się walka, bo zgromadzona tu szlachta poplecznicy Familii, nie chcieli iść pod nóż wyznawców radziwiłłowskich, jak barany na rzeź. (C. d. n.)

ADAM NASIELSKI.

2)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

Rozległo się dyskretne pukanie i Bernard Żbik mimowoli popatrzył na drzwi. Aspirant Kobylański, w cywilnym ubraniu naturalnie, spojrzał ze zwykłym uwielbieniem na człowieka za biurkiem, któremu zawdzięczał stanowisko obecne i wszystko, o czem marzył jeszcze jako starszy przodownik na dalekim Żoliborzu, aż do owego dnia, kiedy los zetknął go z człowiekiem, który umiał się na nim poznać.

— Dzień dobry, panie naczelniku.

— Dzień dobry! Co nowego?

Oficer zbliżył się do najzdolniejszego detektywa Centrali Służby Śledczej. Podsunął Żbikowi duży arkusz papieru z wykreślonymi na nim linjami dwubarwnymi. Do tego przyczepione były spinaczem luźne kartki protokółów i zapisków dochodzenia. Na jednym z nich grube, podwójne podkreślenie ołówkiem i wykrzyknik! Rzut oka wystarczył Żbikowi do zorjentowania się.

— Kto to sknocił?

Kobylański zawahał się nieznacznie.

— Podkomisarz Skurski.

Bernard Żbik podniósł słuchawkę jednego z telefonów... — Rejestratura?... Poproszę pana komisarza Skurskiego... Inspektor Żbik... Tak... Chcę z panem pomówić osobiście.

Gdy po piętnastu minutach do gabinetu zastępcy naczelnika wszedł młody, elegancko ubrany człowiek, brwi głównego detektywa zmarszczyły się. Nie poprosił, aby podkomisarz usiadł. Zmierzył go wymownym spojrzeniem, ale młodzieniec widocznie nie poczuwał się do winy. Uśmiechnął się nawet z początku.

— Pan nie jest z Warszawy, panie podkomisarzu.

— Tak... ale nie rozumiem

— Ma pan krewnych na utrzymaniu.

— Matkę i ojca. Ponadto siostra wychodzi... lecz...

— Wystarczy. Sprawdzimy. I tylko dlatego nie wyleci pan tym razem. Właściwie powinienem postawić wniosek o pańską dymisję. To pan dokonywał pomiarów w terenie kradzieży na dworcu.

— Tak... kierowałem niemi..

— Nawet kierował. Podał pan szerokość drzwi na sześćdziesiątosiem centymetrów, podczas gdy wymiary wyniesionej przez sprawców szafy stalowej były: osiemdziesiątdwa, na stopiętnaście.

— Mierzyłem na oko, panie naczelniku. — Młody oficer zarumienił się ciemno i w źrenicach jego zabłysnął żywiołowy, nieprzezwyciężony strach przed życiem. — Przecież... w tym wypadku nie miało to znaczenia. Sprawców ująłem...

— Takkk! — Dłoń głównego detektywa uderzyła z trzaskiem o blat biurka, że aż wazon drgnął. — nie ma znaczenia — bo pan ujął sprawców. A gdyby uciekli... Pańskim obowiązkiem do stu piorunów jest przyłożyć metr i notować. Niema znaczenia, że... Toż przy tym stanie pomiarów muszę dojść do absurdalnego wniosku, że kasy niepodobna było wynieść przez wąskie drzwi! Poco wy się pchacie do policji, wy, z dyplomami prawniczymi. Czy tylko dla tytułu podkomisarza i tych marnych czterystu złotych. Policyjne zdolności trzeba mieć we krwi, w żyłach i nie pomoże tu żadna Lozanna, ani Lipsk ani Mosty Wielkie, rozumie pan. I same zdolności nie wystarczą — tu trzeba poświęcenia... samozaparcia, altruizmu, nawet ślepe posłuszeństwo to mało bez dobrej, szczerej woli.

Uspokoił się nagle i dodał łagodnie i wyrozumiale, jakby zły na siebie za uniesienie:

— Rozumie pan, — wskazał mu krzesło — tu każdy szczegół ma znaczenie. Trzeba rozszerzyć swój horyzont i zapytywać się ciągle siebie samego: czy wykonałem już wszystko. I, na Boga, człowieku! Nie wolno mierzyć na oko! Na oko! Czy pan wie co pan powiedział. I co zrobił. Jednak za to powinno się wylecieć, może dla własnego dobra.

— Przepraszam, panie naczelniku...

— Słowa, frazesy. Zobaczymy.

Wstał i mocno uścisnął podaną mu po wyciągnięciu swojej, drżącą ze wzruszenia i obawy dłoń. Oficer policji z dyplomem magistra praw wyszedł. Oficer policji z mózgiem znów rozparł się wygodnie w niewygodnym fotelu. Po jakichś pięciu minutach nadszedł Adam Bilewski.

— Skurczak omal nie beczy — zaczął i dodał niekonsekwentnie: — Dzieńdobry. Wszędzie nudy. Głupio mordują, głupio kradną, głupio żyją uczciwie. Psiakość!

Bernard Żbik uśmiechnął się nieznacznie i przywitał się ze swym przyjacielem. I on musiał przyznać, że nudził się ostatnio śmiertelnie. Nie były to nawet dosłowne nudy, by był zawalony pracą. Ot — takie zwarjowane uczucie próżni, poco, dokąd... ale to przejdzie. Musi przejść.

— Ten Skurski to miły chłop, w gruncie rzeczy. Ale w policji daleko nie zajdzie. Mało staranny. Przed kilku minutami zmusiłem się, aby krzyczeć — może to go opamięta, choć wątpię. Szkoda go. Nowa moda! Prawnicy w policji, wojskowi w policji. I odrazu podkomisarz, i daj mu same romantyczne sprawy, żeby się w nim zakochała wdówka po zamordowanym lub żona mordercy — oczywiście bogata. Literatura sensacyjna! Znów wskazał na ostemplowany szablonowo arkusz pod przyciskiem — kobieta. Chcę wstąpić z gracją do Centrali Służby Śledczej — i będzie stosowała plastry Scholla do odcisków palców. Ma zaszczyt prosić o szybką odpowiedź i nie wątpi... Niestety, to nie zależy ode mnie. Odrzuciłbym wszystkie podania. Co tu masz? — Wskazał na arkusz w ręku aspiranta.

— Dla ciebie do podpisu. Trzy ogłoszenia do Gazety Śledczej, dwa listy gończe i jakiś zaginiony kupiec.

— Nowe zaginięcie? Pokaż.

Przejrzał pobieżnie protokóły i podpisał, co należało, bez specjalnego sprawdzania. Adama nie musiał kontrolować.

— Przydzielę to zaginięcie Skurskiemu, niech nie rozpacza. — Zapisał krótką notatkę na rogu arkusza. — Na co jeszcze czekasz.

— Daj mi urlop na pół godziny. Chcę sobie kupić bilet na operę.

— Mowy nie ma, służba. Zabieram cię ze sobą do laboratorium. Te patałachy znowu coś spaskudzą i będzie tak jak w zeszłym tygodniu. Półgłówek jakiś zamiast kleju stolarskiego do odlewu śladu stopy na sypkim piasku użył gipsu i nie zastosował szkieletu. Miałem ochotę powiesić go za stopy. Ciężkie życie.

— Naturalnie — skrzywił się aspirant z sarkazmem, ale bez przekonania. — Skoro ludzie nie zabijają się jakoś à la powieści sensacyjne — to pan inspektor Żbik narzeka na brak zainteresowań. Spotkałem sybarytę — doktorek również się nudzi. Musimy na imieniny spreparować ci jakieś dobre śledztwo. Może ja zakatrupię kogoś przez telefon dla urozmaicenia. Na głowie...

— Nie wygłupiaj się, młodzieńcze i bierz kapelusz. To co mówisz wcale nie jest zabawne

Jedziemy do laboratorium. Potem obiad, gazeta, pół stronicy głupiej powieści kryminalnej, papieros, pani jest urocza, ach, nie, kino, kawiarnia, gazeta zajęta, kolacyjka do jasnej i ciężkiej, spać i jutro to samo, psiakrew!

Nacisnął guzik dzwonka jednocześnie z otworzeniem się drzwi. Stefan trzymał w ręku wizytówkę i miał minę zadowoloną z siebie i ze świata.

— No i co, Stefan.

Wziął z rąk służącego mały kwadracik papieru i odczytał: inż. Edward Downar, Bank Południowy, Warszawa.

— Proś.

Człowiek, który wszedł po chwili był szczupłym, dobrze ubranym brunetem o spokojnym, zrównoważonem spojrzeniu. Zmarszczki przy skroniach mogły wskazywać na usposobienie wesołe, ale teraz zaciśnięte lekko wargi kolidowały z tym wnioskiem. Ubrany był z wyszukaną elegancją w każdym szczególe. Ukłonił się nieznacznie.

— Pan inspektor Żbik?

— To ja. Proszę, oto krzesło, panie inżynierze.

Przybysz uśmiechnął się nieznacznie, lecz natychmiast spoważniał.

— Tytuł inżyniera i zawód bankowy — stanowić mogą śmieszne zestawienie. Jestem inżynierem geodetą i sekretarzem Banku Południowego.

Usiadł na wskazane mu miejsce i rozejrzał się z roztargnieniem po gabinecie. Inspektor zauważył jego spojrzenie.

— To jest pan aspirant Bilewski, mój asystent. Nie mam przed nim prawie żadnych tajemnic.

— Prawie?...

— Pan może w jego obecności mówić o wszystkiem.

Inż. Downar namyślił się przez krótką chwilę. Spojrzał jeszcze raz bacznie na obu siedzących przed nim mężczyzn, rozważając czy można im zaufać. Wyraz jego oczu od samego początku pozostał nieruchomy i niezmieniony, nawet wtedy, gdy się uśmiechnął. Założył jedną nogę na drugą i zdjął ją natychmiast. Patrzał na swe rękawiczki. Wykonywał wszystkie ruchy człowieka niezdecydowanego.

— Właściwie — zaczął naraz — ja nie mam jeszcze nic do powiedzenia. Przybyłem tu na polecenie mego szefa, dyrektora Stokowskiego.

— Stokowskiego! — przerwał Żbik nie chcący.

— Tak, tego samego, którego poznał pan na raucie Resursy Obywatelskiej. Może przypomina pan sobie eleganckiego pana w średnim wieku, którego pan umyślnie potrącił w łokieć, aby zaspokoić swą ciekawość.

Bernard Żbik nie zażenował się wcale.

— Brawo, panie inżynierze. Pan też ma nie złe oko. Widziałem, że pan obserwował nas z tyłu i zwróciłem nawet na to uwagę mego przyjaciela.

Inżynier Downar pozostał poważny, pomimo że lubiał się śmiać.

— Wracając do rzeczy, mam zaszczyt — czy to nie brzmi zbyt urzędowo? — zaprosić pana do nas do banku. Dyrektor Stokowski chciałby z panem pomówić w poważnej sprawie.

— Czy to jest sprawa zawodowa i ja jestem potrzebny jako oficer policji?

— O tym powie panu dyrektor Stokowski. Ja wypełniłem tylko jego polecenie.

Wyczuwało się, że już inż. Downar wolałby nie odpowiadać na szczegółowe pytania, lecz w takich wypadkach Żbik nie był wyszukanie grzeczny.

— Pan jest sekretarzem osobistym dyrektora Stokowskiego i czy chodzi tu o sławnego bankiera międzynarodowego Frazma Stokowskiego?

— Tak, o niego. Jestem jednym z jego dwóch osobistych.

Bernard Żbik wstał, zadzwonił, polecił Stefanowi przynieść kapelusze, laski i płaszcze. Wzdłuż korytarza skierowali się do szerokich schodów za podwójnemi drzwiami. Tu inspektor zatrzymał się na chwilę, wszedł do pokoiku obok i odrazu zatelefonował, gdzie należało. Wrócił i otworzył drzwi przed inż. Downarem.

— Pojedziemy teraz. Dyrektor Stokowski boi się czegoś. Prawda, panie inżynierze?

— Tak.

IV.

Cień cienia

Narzeciw bramy ministerstwa spraw wewnętrznych czekał na nich ogromny Renault bankiera z milczącym szoferem za wolantem. Już z dala dostrzegł małomównego sekretarza w towarzystwie obu detektywów i otworzył drzwiczki naprawdę niezwykłych rozmiarów karoserii. Przez cały czas jazdy do banku milczeli. Wprawdzie Downar próbował raz zagaić „rozmowę" na temat architektury Banku Gospodarstwa Krajowego, ale inspektor Bernard Żbik nie nadawał się doprawdy na takie historie. Zamiast wygłupiać się po literacku na „temat", który go ani ziębił ani grzał, wolał już milczeć.

Rezerwa w zachowaniu się sekretarza bankiera nie dziwiła go. Każdy śmiertelnik, nawet najczystszy czuje mały lęk przed policją, a tu chodziło nadto o bankiera, a więc człowieka szczególnie ciekawego i skrytego. Prawdopodobnie Stokowski nakazał swemu sekretarzowi mówić jak najmniej.

Szofer — mężczyzna o ciemno śniadem zabarwieniu skóry — zahamował motor przed okazałym gmachem Banku Południowego na Filtrowej. Wielki samochód odjechał odrazu. Na razie inspektor mógł przyjrzeć się budynkowi tylko powierzchownie, lecz już pierwszy rzut oka wystarczył dla otrzymania wrażenia przepychu i bogactwa. Przedsionek i poczekalnia o ścianach, wyłożonych marmurem umocniła tylko detektywów w pierwszem wrażeniu. Wszystko pachniało tu luksusem i grubemi pieniędzmi.

Nawprost widniały szerokie schody kamienne, wyłożone dywanem, ale inżynier Downar wyminął je i skierował się do wielkiej i komfortowo urządzonej kabiny windy. Młody chłopiec w szarym uniformie i w czapce z literami: BANK POŁUDNIOWY, zawiózł ich na trzecie piętro. Sekretarz dyrektora zaprowadził ich przez wysoki korytarz do skąpo umeblowanego pokoju, bardzo widnego, którego okna wychodziły na gęsty ogród.

W tym pokoju Edward Downar prosił obu detektywów, aby zaczekali.

— Uprzedzę pana dyrektora. — I wyszedł.

— Co ty o tym myślisz, Adasiu.

— Przedewszystkiem, że ty jesteś niesamowicie spostrzegawczy i domyślny.

— Wiesz, że pochwały nie sprawiają mi żadnej przyjemności. Jak ci się podoba ten inżynier i sekretarz w jednej osobie.

— Wcale mi się nie podoba. Piekielnie małomówny.

— To nie jest wada. Miejmy nadzieję, że jego szef powie nam coś więcej. Nie znoszę rebusów.

— Gdzież tu one są?

— Wszędzie. Zaczęło się jak w powieści szpiegowsko-kryminalistycznej: Bal, masa dyplomatów. Człowiek, który ma strach w oczach — świetny tytuł na pierwszy rozdział. Inspektor policji Bernard Żbik zostaje wezwany przez małomównego sekretarza-inżyniera do tajemniczego szefa-bankiera-dyrektora, któremu na imię Erazm. Chciałbym już wiedzieć jak to się rozwinie, czego nasz pacjent się boi i tak dalej.

Aspirant rozejrzał się wokoło.

— Strasznie tu bogato.

— Erazm Stokowski jest międzynarodową sławą na polu bankowości i przemysłu. Podobno siedemdziesiąt procent kapitałów, któremi dysponuje ulokowanych jest w finansowaniu wojen, gdziekolwiek się da.

— Ach, tak!

Adam Bilewski nie dziwił się teraz tajemniczości bankiera.

— I dlatego nie przypuszczam — ciągnął inspektor — aby poważny człowiek, bankier i potentat finansów tak ni stąd ni zowąd zapraszał mnie do siebie, żeby pogawędzić ze mną o sankcjach przeciw Mussoliniemu. Za tem musi się kryć coś bardziej poważnego. Nie chcę jeszcze powiedzieć: groźnego, abyś mnie nie podejrzewał o melodramat lub histerię.

— Nie ma obawy. — Aspirant znał wstręt swego przyjaciela do wszelkiej przesady i dlatego przyjął jego słowa na serjo. — Intuicja?

— Bah... — Żbik skinął głową na znak zaprzeczenia. — Raczej obserwacja i logika. Stokowskiego stać napewno na własnych detektywów, a on mimo to zgłasza się o pomoc do... Słyszę kroki. Zaraz się dowiemy o wszystkiem.

Istotnie w drzwiach stanęła znajoma wysoka postać o siwych skroniach. Za nim wszedł Downar. Dyrektor Stokowski był tym razem ubrany w szary garnitur półsportowy i wcale nie przypominał bankiera światowej sławy i potęgi. Tylko w poważnych oczach czaiło się coś niezwykłego, a nieokreślonego, co zwróciłoby nań uwagę bystrego obserwatora.

Podał rękę aspirantowi i inspektorowi, przedstawił się pierwszemu i zajął miejsce przy stoliku. Inżynier Downar usiadł obok i bez pytania zapalił papierosa. Był widocznie nałogowym palaczem tytoniu.

— Dziwi panów zapewne ta cała historia — zaczął Stokowski spokojnie i z opanowaniem i tylko czułe ucho dosłyszałoby w jego głosie lekkie, prawie dostrzegalne drżenie.

Bernard Żbik przyglądał się przez chwilę swym nie manicure'owanym paznokciom i rzekł nagle, nie podnosząc wzroku:

— Pan się czegoś straszliwie boi, panie dyrektorze.

Wrażenie, jakie wywarły te słowa, było jednak nieoczekiwane. Bankier cofnął się wraz z fotelem tak gwałtownie, że omal go nie przewrócił wraz z sobą. Wpatrzył się w inspektora szeroko rozwartymi z rzeczywistego przerażenia źrenicami i zagryzł wargi aż do krwi nieomal. Minęły może dwie minuty nim odprężenie powoli stajało. Ale strach w kącikach oczu spotęgował się, a brzegi warg drgały nieznacznie, lecz wciąż.

— Co pan wie?

Żbik pozostał spokojny i opanowany w każdym geście. Jego głos brzmiał normalnie, była w nim jednak jakaś ukryta nuta energii i stanowczości.

— Mógłbym odpowiedzieć ogólnikowo, mam w tem — jako oficer służby śledczej — dużą wprawę i wyciągnąłbym z pana może jakieś wyznanie bez bólu. To nie są rzeczy trudne a przynajmniej łatwiejsze niż się ogólnie sądzi. Nie chcę jednak tak postąpić. Przyznaję, że nie wiem nic poza tym, co zauważyłem przypadkiem na raucie w Resursie Obywatelskiej.

— Co pan zauważył?

Wielki psycholog uśmiechnął się z wyraźnym pobłażeniem. Mimo to powtórzył:

— Zauważyłem, że pan wygląda tak, jakby za panem chodziła śmierć ze wzniesioną kosą. Poetyczne porównanie jak na kryminologa — sądzę jednak, że trafne.

Bankier uspokoił się naraz — tak naraz, że musiało to się wydać więcej niż dziwne.

— Przypuśćmy, że pan ma rację, inspektorze — stwierdził zimno, jak gdyby nie o niego chodziło. — Coby pan uczynił na mojem miejscu?

— Postąpiłbym jak pan. Wezwałbym oficera policji. Od tego my funkcjonujemy. Przecież również rozumie pan, że ja w tej sprawie — nie wiem jeszcze w jakiej — mogę mieć więcej objektywizmu niż pan, jako zainteresowany.

— A jeżeli — odparł bankier chłodno — jeżeli wyjawienie panu tajemnicy automatycznie uczyni z pana zainteresowanego subjektywnie — jak ja.

— Co pan dyrektor przez to rozumie.

— To, że pan również zacznie bać się śmierci.

— Tak — zastanowił się inspektor. — Pojmuję. To jednak wchodzi, już w zakres mego ryzyka zawodowego. Za to mi płacą pensję. Nie przypuszczam też, aby to dla pana miało jakiekolwiek znaczenie. Poznaliśmy się dobiero dziś i to tylko powierzchownie. Myślę, że panu będzie to obojętne jak dalece niebezpieczeństwo rozciągnie się na mnie. Zresztą — załagodził — może pan przesadza jak wszyscy ludzie zdenerwowani.

— Wcale nie przesadzam i dlatego żałuję już, że pana wezwałem. Mam silne nerwy, ale... nie mogę dłużej żyć z przeświadczeniem nagłej śmierci.

— To są wszystko ogólniki i pajęczyna. Pański czas jest napewno drogi — i mój również. Aby móc przeprowadzić śledztwo muszę mieć konkretne zameldowanie i uchwytne fakty — ale nie wolno mi narzucać się. Chodźmy, Adamie.

Bernard Żbik wstał po tych słowach i skłonił się lekko potentatowi. Ten jednak nie wyciągnął swej ręki, jak należało oczekiwać. Jeszcze raz przyjrzał się bacznie swoim rozmówcom.

— Proszę. — Niech pan usiądzie. Boję się — zawahał — się — boję się, aby pan nie pomyślał, że jestem śmieszny lub histeryk.

Inspektor przymrużył mimowoli jedno oko. Nie lubiał być okłamywanym, nawet przez wysoko postawione osobistości i na tym punkcie był niemal bezwzględny i reagował natychmiast.

— Mam do czynienia z człowiekiem poważnym i sądzę, że wolno mi panu mówić prawdę. Otóż jestem przekonany, że tu wcale nie chodzi o obawę przed ośmieszeniem. Wątpię w to. Człowiek tak bogaty jak pan, może gwizdać na podejrzenie ośmieszania lub histerii.

Zapanowało milczenie. Za oknem szumiał październikowy, niezdrowy wiatr i deszcz bił w szyby grubymi kroplami. Wydawało się jednak obecnym, że nagle oderwali się od świata zewnętrznego i zanurzyli mackami świadomości w jakieś inne środowisko. Na pozór wszystko jest normalne: — dyrektor wielkiego banku zawezwał oficera policji, może w delikatnej, intymnej sprawie i — jak to bankierzy, ludzie nieufni — zachowuje się zagadkowo i ślisko, ściślej mówiąc: niezdecydowanie. Zaufać czy nie ryzykować. Boi się może konsekwencyj na giełdzie, kto go wie. A jednak... jednak... Co miały oznaczać słowa o „automatycznem subjektywnem zainteresowaniu".

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 9 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w W-wie 10.30 „Najnowsze nagrania sławnych artystów" (płyty) 12.03 Poranek muzyczny (z Poznania) Transmisja ze studia P.R. na Międzynarodowych Targach Poznańskich 14.30 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego i Chór A. Zaremby 15.30 Audycja dla wsi 16.00 Muzyka lekka (płyty) 16.25 Wznowienie słuchowiska pt. „Żona Lota" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Kultura czytania" — szkic literacki 19.20 Schubert i Schumann (płyty) 21.00 Wesoła audycja ze Lwowa 21.30 Utwory Aleksandra Skriabina w wyk. J. Smidowicza 22.00 Muzyka rozrywkowa i taneczna.

Poniedziałek, dnia 10. maja 1919 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" 15.15 Pieśni holenderskie (płyty) 16.30 Kwartet Salonowy Rozgłośni Krakowskiej 17.00 „Warszawa w czasach przedrozbiorowych" — odczyt 17.15 „Neoromantycy niemieccy" — koncert 18.20 „Chwilka Mickey-Mouse" (płyty) 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa) 20.15. Recital wiolonczelowy Dezyderiusza Danczewskiego 21.00 „Mały Eyolf" — fragment słuchowiskowy z dramatu Ibsena 21.30 „Trzej popularni dyrygenci jazzowi" (płyty) 22.00 Koncert wieczorny.

Wtorek. dnia 11 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Gershwin — twórca muzyki jazzowo-symfonicznej" (płyty) 15.15 Koncert muzyki operowej 16.30 Pieśni ludowe góralskie i śląskie 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Wileńska Orkiestra P.R. 17.50 „Jak pozbyłam się upiora" — monolog 18.20 Organy Wurlitzera i ksylofon (płyty) 19.00 „Dyskutujmy": „Problemy współczesnego wychowania" 19.20 Recital śpiewaczy Fierenze-Giampelli 20.05 „Mów do mnie jeszcze" — audycja z Poznania 21.00 Muzyka salonowa w wyk. Małej Orkiestry PR. 21.45 W stulecie śmierci Johna Fielda (1732—1837) — zwiastuna Chopina — koncert 22.40 Muzyka salonowa (płyty).

Środa dnia 12 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa żałobnego za dusze Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert Orkiestry Wojskowej z Wilna 15.15 Muzyka z płyt — W przerwie reportaż z angielskich uroczystości koronacyjnych 17.00 „Pamiętniki żołnierzy" — odczyt 17.15 „Z niedawnej przeszłości" — pieśni 17.50 „Piękno Lwowa" — 9 pogadanka 18.20 Muzyka salonowa 19.00 Karol Libelt; „O miłości Ojczyzny" 19.20 Muzyka (płyty) 20.00 Reportaż obrazujący życie Marszałka J. Piłsudskiego 20.45 Chwila ciszy 20.448 Muzyka polska w hołdzie Marszałkowi Piłsudskiemu Transmisja z Filharmonii Warszawskiej 22.20 „Opowieść o Chopinie" — wieczór 16-ty.

Czwartek, dnia 13 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych i średnich z Filharmonii Warszawskiej 12.03 Utwory Waltona i Coleridge'a (płyty) 15.15 Orkiestry cygańskie (płyty) 16.35 Zespół Pawła Rynasa 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Z dziejów polskiego teatru" — odczyt 18.20 Muzyka lekka (płyty) 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Aniołowie między nami" 19.45 Muzyka salonowa i taneczna w wyk. Małej Ork. PR. 20.30 „W słońcu Kubalonki" — pogadanka 21.00 25 audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Wileńskiej Ork. PR.

Piątek, dnia 14 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 16.30 Piosenki i tańce regionalne wileńskie 17.00 „Warszawa w czasach niewoli" — odczyt 17.15 Koncert kameralny w wyk. Kwartetu Warszawskiego 18.20 Foxtroty charakterystyczne (płyty) 19.00 „Meluzyna" — epizod z powieści „Król Trędowaty" 19.45 11 pogadanka z cyklu „O instrumentach orkiestry symf." 20.00 Józef Verdi: „Traviata" — opera (z płyt) 22.30 „Made in England" — skecz Feliksa Zandlera 22.45 Muzyka lekka (płyty).

Sobota, dnia 15 maja br.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert południowy w wyk. Ork. P.R. 14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci 15.15 Piosenki łotewskie (płyty) 16.15 Melodie ludowe — w wyk. Ork. Adama Hermana 17.00 Transmisja Nabożeństwa Majowego z Ostrej Bramy 18.20 Muzyka lekka z udz. Herberta Ernesta Groh (płyty) 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.50 Cztery Madrygały Pierre Luigi Palestriny 20.50 „Potpourri wiosenne" Transmisja z Wiednia 21.35 „Szczęście Gzymsa" — wesoła audycja 22.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

H-U-M-O-R

REKRUT

Rekrut Rzepka jedzie tramwajem. Na jednym z przystanków wchodzi do wagonu kapitan. Rzepka zrywa się na baczność.

— Siadajcie — mówi kapitan, po czym usadawia się naprzeciw Rzepki.

Na następnym przystanku dzielny wojak podnosi się i prężąc się jak struna salutuje.

Kapitan macha ręką. — Siadajcie, siadajcie.

Tramwaj rusza. Znowu przystanek, Rzepka zrywa się ponownie i salutuje.

Kapitan spogląda nań zniecierpliwiony: — Siadajcież!

Kiedy jednak Rzepka podniósł się jeszcze raz, kapitan ryknął wściekły:

— Mówiłem wam, że macie siedzieć!!!!

A na to Rzepka: — Panie kapitanie, ja już cztery przystanki przejechałem!

GRY TOWARZYSKIE

Państwo Głąbkowie wydali przyjęcie. Zabawiano się w najrozmaitsze gry.

Pani Głąbkowa zwraca się do gości:

— Tylko bardzo proszę, nie urządzajcie znowu zabawy w łyżki.

— A jaka to jest zabawa?

Pani Głąbkowa wzdycha: — Nie znam jej dokładnie. Ale zawsze po przednich przyjęciach brakowało mi kilka łyżek.

W AMERYCE

Pan Smith z Chicago wybrał się autem na przejażdżkę i podczas jazdy uległ wypadkowi.

Na szczęście przejeżdżający ludzie uratowali go od śmierci i zanieśli do najbliższej chaty wieśniaczej.

Gospodyni podała rannemu szklankę mleka zmieszanego z whisky.

Mister Smith wychylił szklankę jednym haustem i ledwo dosłyszalnym głosem szepnął:

— Daję 3000 dolarów za tę krowę!

UZASADNIONE PYTANIE

— Proszę mi powiedzieć, panie sędzio, dlaczego żebranina ma być grzechem, gdy przecież dawanie jałmużny uważane jest za cnotę.

DZIECI

W domu państwa Kapuścińskich panuje ogromne zamieszanie.

Wezwano już akuszerkę, potem doktora. Po kilku godzinach ojciec oznajmia synkowi:

— Władeczku, masz nowego braciszka!

Mały Władzio namyśla się chwilę, wreszcie powiada:

— Wiedziałem, że się to tak skończy!

POCIESZENIE

Rzecz dzieje się w wagonie prywatnej linii kolejowej. Gość wstrząsany, podrzucany, z poobijanemi bokami, ogłuszony brzęczeniem rozklekotanych ścian i szyb wagonu, narzeka przed konduktorem:

— Ależ to straszny pociąg — dłuższa nim podróż jest poprostu niemożliwa!

— Niech pan dobrodziej się uspokoi — niech pan pomyśli, że jza siedzę już w tej kolei siedem lat!

— Na miłość Boską, a gdzież pan wsiadł?

SPRYTNA ODPOWIEDŹ

— Mam zamiar podarować twemu ojcu 100 cygar na imieniny. Czy uważasz, że co innego sprawiłoby mu może większą przyjemność?

— Tak — 200 cygar!

KWESTIA ZAUFANIA

Od kilku tygodni p. Alojzy Pieczonka bywał stałym gościem w domu pp. Kuśmidrowiczów, przy czym czas spędzał przeważnie w pokoju dwudziestoletniej ich córki, Frani.

Pewnego razu, po dłuższej bytności we fraucymerze, kawaler puka do gabinetu pana domu. Jest zmieszany, jąka się, nie może zdania skleić.

— Wiemy, o co ci chodzi — woła Kuśmidrowicz — jesteś miły kochany chłopak i zgóry zgadzam się na twoją prośbę.

Kawaler milczy przez chwilę, wreszcie odzywa się nieśmiało:

— Przychodzę prosić pana o tysiąc złotych pożyczki...

A na to Kuśmidrowicz wybuchając nagle:

— Co? Panu się zachciało tysiąc złotych pożyczki! Pan myślisz, że ja dam tysiąc zł. pierwszymu lepszymu? Wont!

W BIURZE

Szef do urzędnika: — Co to jest panie Hufnagel, pan śpi?!...

Hufnagel: — Hm.... hm... panie dyrektorze, ja bardzo przepraszam, ale mój mały synek nie pozwolił mi przez całą noc oka zmrużyć.

Szef: — Wie pan co, panie Hufnagel? Niech pan synka sprowadzi do biura...

PRZYJACIÓŁKI

— Wiesz, wczoraj powiedział mi Władzio, iż jestem najpiękniejszą kobietą na świecie!

— To samo mówił do mnie parę miesięcy temu!

— Wiem o tem i podziwiam, jak mu się przez ten czas gust naprawił!

PRAWO I SĄD

— Czy życzy pan sobie obrońcy? — pyta sędzia oskarżonego.

— Nie, dziękuję. Wolałbym, żeby pan sędzia mógł mi się wystarać o paru dobrych świadków.

MOTYWY WYBORU

— Panie dyrektorze, jakże pan mógł powierzyć rolę eleganckiego hrabiego temu młodemu nieokrzesanemu drągalowi?...

— Cóż pan chce? — Jedyny frak w naszej teatralnej garderobie tylko on mógł włożyć — dla innych był za duży, albo za mały.

OFIARA PRZESĄDÓW

Naczelnik więzienia: — Znowu tu jesteście? Niedługo trwała wasza wolność.

Więzień: — Wiedziałem odrazu, panie naczelniku, że tak będzie, bo jak wychodziłem z więzienia, kot mi przebiegł przez drogę.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preuumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie